

Anonimowy list oskarża wysokiego urzędnika brytyjskiego MSZ o przedwojenną przynależność do partii komunistycznej. Rutynowe przesłuchanie prowadzi George Smiley. Zarzut jest niepoważny i sprawa szybko zostaje zamknięta. A jednak następnego dnia oskarżony popełnia samobójstwo... Usiłując dociec prawdziwej przyczyny jego śmierci, Smiley wpada na trop NRD - owskiego szpiega. I odkrywa, że on sam ma być następną ofiarą...

John Le Carre

BUDZENIE ZMARŁYCH

Krótką historią George'a Smileya

Kiedy lady Ann Sercomb poślubiła pod koniec wojny George'a Smileya, nazwała go, ku zaskoczeniu swoich przyjaciół z May fair, zapierającym dech w piersiach przeciętniakiem. Kiedy rzuciła męża dwa lata później dla pewnego kubańskiego kierowcy wyścigowego, stwierdziła enigmatycznie, że gdyby wtedy go nie zostawiła, to nigdy nie byłaby w stanie tego zrobić; a wicehrabia Sawley wyprawił się na obchód swojego klubu i opowiadał, że kot wylazł z worka.

Ta uwaga zrobiła nawet na krótko karierę bon motu, ale była zrozumiała tylko dla tych, którzy Smileya znali. Niski, tłusty, o spokojnym usposobieniu, wyglądał tak, jakby mnóstwo pieniędzy wydawał na naprawdę okropne ubrania, które wisały na jego przysadzistej sylwetce jak skóra na skurczonej ropusze. Sawley zrobił nawet uwagę podczas ślubu, że „Sercomb złączyła się z żabą we fraku”. Smiley, nieświadom, że tak go podsumowano, człapał nawą boczną czekając na pocałunek, który zamieni go w księcia.

Był biedny czy bogaty, był prostakiem czy panem? Gdzie ona go znalazła? Absurdalność tego związku podkreślała niepodlegająca dyskusji uroda lady Ann, a tajemnicę inspirował kontrast pomiędzy tym mężczyzną a jego oblubienicą. Ale plotka musi widzieć charakter w bieli i czerni, wyposażyć je w grzechy i motywy łatwe do przekazania w stenografii towarzyskiej rozmowy. I tak Smiley, bez szkoły, rodziców, pułku albo fachu, bez bogactwa i bez nędzy, podróżował pozbawiony etykietek w brankardzie towarzyskiego ekspresu i wkrótce stał się zagubionym bagażem, którego przeznaczeniem było. gdv nadszedł rozwód, leżeć bez wniosków o zwrot na zakurzonej połce wczorajszych nowin.

Kiedy lady Ann pojechała za swoim gwiazdorem na Kubę n0 ślała przez chwilę o Smileyu. Z niechętnym podziwem przyznała przed sobą, że gdyby w jej życiu miał być tylko jeden mężczyzna, to był nim Smiley. Była zadowolona, że okazała to, zawierając z nim świetny związek małżeński. Skutek, jaki wywarł wyjazd lady Ann na jej byłym mężu, nie zainteresował towarzystwa - ono bowiem przechodzi obojętnie nad pokłosiem sensacji. Niemniej byłoby ciekawe, co Sawley i jego stadko wnioskowałiby z reakcji Smileya; z tej mięsistej twarzy w okularach zmarszczonej w koncentracji nad lekturą podrzędnych niemieckich poetów z poduszki wilgotnych dłoni zaciśniętych pod opadającymi mankietami. Ale Sawley skwitował to ledwie uwagą, jak zdawkowe wzruszenie ramieniem, *partir c'est courir un peu*, i zdawał się nieświadom tego, że mimo iż lady Ann właśnie uciekła, kawałek George'a Smileya naprawdę umarł.

Ta część Smileya, która przeżyła, była równie absurdalna w zestawieniu z jego powierzchownością, jak miłość albo upodobanie do zapoznanych poetów: to był jego zawód, bo Smiley był oficerem wywiadu. Właśnie ten zawód wykonywał z niekłamana przyjemnością, a on łaskawie wyposażał go w kolegów o równie, jak jego nieznanymi charakterach i pochodzeniu. Wyposażał go również w to, co kiedyś kochał najbardziej: w akademickie wyprawy w świat tajemniczego ludzkiego zachowania dokonywane przez praktyczne zastosowanie jego własnych metod dedukcji.

W latach dwudziestych, kiedy Smiley wyłonił się z murów swojej niepozornej szkoły i mrugając, powlókł się do mrocznych krużganków college'u w Oksfordzie, marzył o członkostwach w kolegiach uniwersyteckich i życiu poświęconym literackim zakamarkom siedemnastowiecznych Niemiec. Ale jego opiekun naukowy, który znał Smileya lepiej niż on sam siebie, odwiódł go od marzeń o zaszczytach, które bez wątpienia Smileyowi się należały. W słodki lipcowy poranek 1928 roku zaskoczony i lekko zaróżowiony Smiley zasiadł przed obliczem komisji przesłuchań Komitetu Zagranicznych Studiów Akademickich, organizacji, o której z niewyjaśnionych przyczyn nigdy nie słyszał. Jebedee, jego opiekun naukowy dziwnie wymijająco przedstawił mu sprawę: Daj tym ludziom szansę, Smiley, mogą cię chcieć, a płacą na tyle dobrze, żeby ci zagwarantować przyzwoite towarzystwo. Ale Smiley był zdenerwowany i powiedział o tym. Martwiło go, że Jebedee, zwykle tak precyzyjny, teraz był tak wymijający. Lekko wzburzony zgodził się odłożyć swoją decyzję, póki nie zobaczy „tajemniczych ludzi” Jebedee.

Nie przedstawiono go komisji, ale połowę jej członków znał z widzenia. Byli tam Fielding, francuski mediewista z Cambridge. Sparke ze Szkoły Języków Orientalnych i Steed-Asprey, który jadł obiad przy Wyśokim Stole tego wieczoru, gdy Smiley był gościem Jebedee. Musiał przyznać, że był pod wrażeniem. Dla Fieldinga samo opuszczenie pokoju, nie mówiąc już o Cambridge, było cudem samym w sobie. Później Smiley zawsze myślał o tym przesłuchaniu jak o tańcu z wachlarzem; przemyślany ciąg odsłoneń, a każde ukazywało inną część tajemniczego bytu. Wreszcie Steed-Asprey, który, zdaje się, był przewodniczącym, odsłonił ostatni welon i prawda stanęła przed Smileyem w całej swej olśniewającej nagości. Proponowano mu stanowisko w czymś, co z braku lepszej nazwy Steed-Asprey wstydliwie nazwał tajną służbą.

Smiley poprosił o czas do namysłu. Dali mu tydzień. Nikt nie wspomniał o poborach. Tego wieczoru zatrzymał się w Londynie w całkiem niezłym hotelu i wybrał się do teatru. Czuł się dziwnie beztroski i to go niepokoiło. Wiedział doskonale, że się zgodzi, że mógł to zrobić już podczas przesłuchania. Tylko instynktowna ostrożność i, być może, swego rodzaju kokieteria wobec Fieldinga sprawiły, że się powstrzymał.

Po zgodzie nadszedł czas szkolenia: anonimowe wiejskie domy, anonimowi instruktorzy, sporo podróży i - coraz bliższa fantastyczna perspektywa pracy w całkowitej samotności.

Jego pierwsze stanowisko operacyjne było względnie przyjemne - dwuletni kontrakt jako englischer Dozent na jakimś prowincjonalnym uniwersytecie niemieckim: wykłady z Keatsa i wakacje w bawarskich domkach myśliwskich z grupkami poważnych i uroczyście rozwiązłych niemieckich studentów. Pod koniec każdego długich wakacji zabierał niektórych z nich do Anglii, zgłaszając uprzednio prawdopodobnych kandydatów i przekazując swoje rekomendacje tajnymi kanałami pod pewien adres w Bonn. Przez całe dwa lata nie miał pojęcia, czyjego rekomendacje przyjęto, czy zignorowano. Nie miał też możliwości dowiedzieć się, czy zainteresowano się jego kandydatami. W rzeczy samej, nie miał nawet możliwości sprawdzić, czyjego wiadomości dotarły do celu; a kiedy był w Anglii, nie miał kontaktu z departamentem.

Miał ambiwalentny stosunek do wykonywanej pracy. Intrygowało go dokonywanie bezstronnej oceny tego, co nauczył się nazywać „potencjałem agenta” w istocie ludzkiej; wynajdowanie maleńkich teści-ków charakteru i zachowania, które mogły powiedzieć mu coś o cechach kandydata. Ta jego część była bezkrwista i nieludzka - w tej roli Smiley stawał się międzynarodowym najemnikiem swojego rzemiosła, amoralnym, bez motywacji, poza tą, którą daje osobista satysfakcja.

Ale zarazem smuciło go przyglądanie się, jak w nim samym stopniowo obumiera naturalna przyjemność. Zawsze był zamknięty w sobie, a teraz widział, jak wzdraga się przed pokusami przyjaźni i ludzkiej lojalności; z rezerwą podchodził do spontanicznych reakcji. Siłą swojej inteligencji zmuszał się do obserwowania ludzkości z klinicznym obiektywizmem, a ponieważ nie był nieśmiertelny ani nieomylny, nienawidził fałszu w swoim życiu i bał się go.

Był natomiast człowiekiem sentymentalnym i długa emigracja umacniała w nim głęboką miłość do Anglii. Rzucił się żarliwie na wspomnienia Oksfordu; na jego piękno, jego racjonalną bez troskę i dojrzałą powolność jego osądów. Marzył o przewianych jesiennym wiatrem urlopach na Hartland Quay, o długich włóczęgach po urwiskach Komwalii z twarzą wystawioną na wiatr od morza. To było jego drugie, tajemne życie i zaczął nienawidzić rubaszných, nowych Niemiec, które wtargnęły w jego świat: tupania i wrzasków ubranych w mundury studentów, poznaczonych bliznami aroganckich twarzy i prymitywnych odzywek. Nie znosił także sposobu, w jaki wydział majstrował przy jego przedmiocie - jego ukochanej literaturze niemieckiej. I przyszła noc, straszna noc zimą 1937 roku, kiedy Smiley stał w oknie i obserwował wielkie ognisko na dziedzińcu uniwersyteckim: wokół niego stały setki studentów, twarze mieli rozradowane, błyszczące w tańczących światłach. W pogański ogień rzucali setki książek. Wiedział, czyje to były dzieła: Tomasza Manna, Heinego, Lessinga i legionu innych. Ściskając papierosa wilgotną dłonią, patrząc i nienawidząc, triumfował, że poznał swojego wroga.

Rok 1939 zastał go w Szwecji jako akredytowanego agenta znanej szwajcarskiej wytwórni broni ręcznej, o dogodnie przesuniętej do tyłu dacie zatrudnienia. Jego powierzchowność, w podobnie dogodny sposób, również się zmieniła; Smiley bowiem odkrył w sobie talent do roli, która sięgała głębiej niż zmiana fryzury i dodatek w postaci wąsika. Przez cztery lata odgrywał tę rolę, podróżując w tę i z powrotem pomiędzy Szwajcarią, Niemcami i Szwecją. Nigdy nie przypuszczał, że tak długo można się bać. Rozwinął mu się nerwowy tik w lewym oku, który został na najbliższe piętnaście lat; napięcie wyżłobiło bruzdy w jego mięsistych policzkach i czole. Dowiedział się, jak to jest nie móc zasnąć, nie móc się odprężyć, przez całą dobę czuć nieznośne łomotanie własnego serca, doświadczyć skrajnej samotności i rozczulania się nad sobą, nagłego, niedającego się wytłumaczyć pragnienia kobiety, alkoholu, ćwiczeń, jakiegokolwiek narkotyku, który usunąłby napięcie z jego życia.

Takie było tło, na którym prowadził swój prawdziwy handel i pracę szpiega. Z upływem czasu sieć rozrastała się i kolejne kraje naprawiały swój brak przewidywania i przygotowania. W 1943 roku został odwołany. Po sześciu tygodniach zapragnął wrócić, ale mu nie pozwolono.

— Skończyłeś się — powiedział Steed-Asprey. — Trenuj nowych ludzi, zabijaj czas. Ożeń się albo coś zrób. Odpręż się.

Smiley oświadczył się sekretarce Steed-Aspreya, lady Ann Sercomb.

Wojna się skończyła. Dali mu odprawę, a on zabrał swoją piękną żonę do Oksfordu, żeby oddać się tajemnicom siedemnastowiecznych Niemiec. Ale dwa lata później lady Ann była na Kubie, a rewelacje ujawnione przez młodego rosyjskiego szyfranta w Ottawie stworzyły zapotrzebowanie na ludzi, którzy mieliby doświadczenie takie jak Smiley.

To była nowa praca, bezpieczna i z początku podobała mu się. Ale przychodzili młodszy, zapewne ze świeższymi umysłami. Smiley nie był kandydatem do awansu i stopniowo zaczął sobie uświadamiać, że wszedł w wiek średni z pominięciem młodości i że został - choć w sposób najprzyjemniejszy z możliwych - odstawiony na boczny tor.

Świat się zmienił. Steed-Aspreya nie było, uciekł z nowego świata do Indii w poszukiwaniu innej cywilizacji. Jebedee nie żył. W 1941 roku wsiadł w Lille do pociągu ze swoim radiooperatorem, młodym Belgiem, i nie usłyszano już o nim więcej. Fielding zagłębił się w nowe odkrycia dotyczące Pieśni o Rolandzie. Ostał się tylko Maston, rekrut czasu wojny, doradca ministra do spraw wywiadu. „Pierwszy do ekskluzywnego tenisa na Wimbledonie”, mawiał o nim Jebedee. NATO i desperackie środki rozważane przez Amerykanów zmieniły całą naturę tajnej służby. Na zawsze odeszły dni Steed-Aspreya, kiedy można było odbierać rozkazy nad kieliszkiem porto w jego pokojach na Magdalen; uduchowiona amatorszczyzna garstki wysoko kwalifikowanych, słabo opłacanych ludzi ustąpiła przed wydajnością, biurokracją i intrygami wielkich rządowych departamentów - na korzyść Mastona z jego drogimi ubraniami, jego szlachectwem, jego dystygowanymi siwymi włosami i srebrzystymi

krawatami; Mastona, który zawsze pamiętał o urodzinach swojej sekretarki, którego maniery były wzorem cnót dla dam z towarzystwa; Mastona, który wciąż rozszerzał swoje imperium i z udawanym żalem przeprowadzał się do coraz większych gabinetów; Mastona urządzającego eleganckie domowe party w Hen-ley i żerującego na sukcesach swoich podwładnych.

Sprowadzili go podczas wojny, żeby zajmował się papierami i łączył w całość błyskotliwość swoich pracowników z nieporęczną machiną biurokracji. Wielkim dodawało otuchy, że mają do czynienia z człowiekiem, którego znają, który jest w stanie zredukować każdy kolor do szarości, zna swoich panów i może się między nimi przechadzać. Lubili nieśmiałość, z jaką przeproszał za towarzystwo, które utrzymuje, nieszczerłość, z jaką bronił kaprysów swoich podwładnych, usłużność, z jaką formułował nowe zobowiązania. Nie rezygnował zarazem z korzyści płynących z zajmowanego malgré lui stanowiska człowieka płaszcza i sztyletu. Płaszczem zasłaniał się przed swymi panami, sztylet zachowywał dla sług. Zajmował dziwną z pozoru pozycję. Nie był nominalnym szefem służb specjalnych, lecz doradcą ministra do spraw wywiadu, a Steed-Asprey zawsze mówił o nim, że jest naczelnym eunuchem.

To był nowy świat dla Smileya, jaskrawo oświetlone korytarze, eleganccy młodzi ludzie. Czuł się jak intruz, staromodny, stęskniony za wałącym się domem z tarasem w Knightsbridge, gdzie to wszystko się zaczęło. Ten psychiczny dyskomfort znalazł odbicie w jego wyglądzie, zaczął bowiem bardziej się garbić i był bardziej żabi niż zwykle. Tik w lewym oku pogłębił się i nadano mu pseudonim Kret. Ale młoda sekretarka uwielbiała go i mówiła o nim zawsze „mój kochany miś”.

Smiley był już za stary, żeby wybrać się za granicę. Maston postawił sprawę jasno:

—Jakby nie było, chłopie kochany, jesteś wypompowany po tym myszkowaniu w czasie wojny. Lepiej siedź w domu i podsycaj domowe ognisko. To jakoś tłumaczy, dlaczego George Smiley siedział na tylnej kanapie londyńskiej taksówki o drugiej nad ranem w środę czwartego stycznia i jechał do Cambridge Circus.

Nigdy nie zamykamy

W taksówce czuł się bezpiecznie. Bezpiecznie i ciepło. Ciepło było przemycone, przeschmuglowane z łóżka, nagromadzone w obronie przed wilgotną styczniową nocą. Poczucie bezpieczeństwa płynęło z oderwania się od rzeczywistości: to jego duch krążył po londyńskich ulicach i obserwował nieszczęsnych poszukiwaczy przyjemności drepczących pod wielkimi parasolami i dziwki opakowane kunsztownie w polietylen. To jego duch wy szedł ze studni snu i powstrzyma! telefon brzęczący na nocnym stoliku... Oxford Street... dlaczego Londyn jest jedyną stolicą na świecie, która traci w nocy osobowość? Smiley, opatuliwszy się mocniej płaszczem, mógł myśleć o dowolnym miejscu, od Los Angeles po Berno, które tak chętnie rezygnowały z dziennej walki o tożsamość.

Taksówka skręciła na Cambridge Circus i Smiley wyprostował się gwałtownie. Przypomnił sobie, dlaczego zadzwonił oficer dyżurny, i to wspomnienie brutalnie wyrwało go z marzeń. Rozmowa wracała do niego słowo po słowie - wyczyn pamięci opanowany dawno temu.

—Smiley, mówi oficer dyżurny. Mam doradcę na linii...

—Smiley, tu Maston. Przesłuchiwałeś Samuela Arthura Fennana w poniedziałek w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, tak?

—Tak... Tak, przesłuchiwałem.

—O co tam chodziło?

—Anonimowy list imputujący przynależność do partii w Oksfordzie. Rutynowe przesłuchanie autoryzowane przez dyrektora bezpieczeństwa. Fennan nie mógł się poskarżyć, pomyślał Smiley. Wiedział, że go oczyszczą. Nie było w tym nic niewłaściwego, nic.

Czy Ma W tym wrogość, Smiley? Powiedz mi.

Boże, ależ on jest wystraszony. Fennan musiał napuścić na nas cały gabinet.

—Nie. To była przyjazna rozmowa; myślę, że przypadliśmy sobie do gustu. Choć prawdę powiedziawszy, nie trzymała się ściśle instrukcji.

—To znaczy, Smiley?

—Cóż, powiedziałem mu ogródkiem, żeby się nie martwił.

—Co zrobiłeś?

—Powiedziałem mu, żeby się nie martwił; najwyraźniej był trochę podenerwowany, więc mu to powiedziałem.

—Co mu powiedziałeś?

—Że nie mam uprawnień i wywiad też nie ma; i że nie widzę powodu, żeby ponownie go przesłuchiwać.

—To wszystko?

Smiley zastanawiał się przez chwilę; nie znał takiego Mastona, nie wiedział, że jest tak uzależniony od góry.

—Tak, to wszystko - odparł wreszcie. Absolutnie wszystko. - Nigdy mi tego nie wybaczy. Tyle, jeśli chodzi o wystudiowaną łagodność, kremowe koszule, srebrne krawaty i eleganckie obiady z ministrami.

—On twierdzi, że rzuciłeś cię na jego lojalność, że jego kariera w Ministerstwie Spraw Zagranicznych legła w gruzach, że padł ofiarą płatnych informatorów.

—Co powiedział? Musiał oszaleć. Wie, że został oczyszczony. Czego jeszcze chce?

—Niczego. Nie żyje. Zabił się o dziesiątej trzydzieści dziś wieczór. Zostawił list do ministra spraw zagranicznych. Policja zadzwoniła do jednego z jego sekretarzy i otrzymała pozwolenie na otwarcie listu. Potem nam powiedzieli. Ma być dochodzenie. Smiley, czy jesteś pewien?

—Pewien czego?

Mniejsza o to. Wpadnij, jak tylko będziesz mógł.

Zabrało mu parę godzin, zanim złapał taksówkę. Dzwonił na trzy postoje, ale bez skutku. Wreszcie odpowiedział postój na Sloane Square i Smiley czekał przy oknie sypialni owinięty w płaszcz, aż zobaczył, że taksówka podjechała pod drzwi. Przywiodło mu to na myśl naloh w Niemczech, ten nierealny niepokój w śmiertelnej nocnej ciszy.

Na Cambridge Circus zatrzymał taksówkę sto metrów od urzędu, trochę z przyzwyczajenia, a trochę, żeby oczyścić umysł w oczekiwaniu na gorączkowe wypytywania Mastona. Pokazał przepustkę wartownikowi i powoli ruszył do windy.

Oficer dyżurny powitał go z wyraźną ulgą.

—Maston poszedł do Scotland Yardu pogadać ze Sparrowem - wyjaśnił, gdy szli korytarzem. —

Muszą ustalić, który wydział będzie się zajmował tą sprawą. Sparrow twierdzi, że wydział specjalny, Evelyn, że kryminalny, a policja w Surrey nawet nie wie, co się jej trafiło. Gorzej nie może być. Chodź, napijemy się kawy w mojej rupieciarni. Z termosu, ale całkiem niezła.

Smiley ucieszył się, że to Peter Guillam ma dyżur tej nocy. Guillam, wytworny i przyjazny, zajmował się szpiegostwem satelitarnym. Należał do ludzi, którzy zawsze mają przy sobie rozkład jazdy i szczyryk.

—Wydział specjalny zadzwonił o dwunastej. Żona Fennana poszła do teatru i znalazła go, dopiero gdy wróciła za kwadrans jedenasta. Wtedy zadzwoniła na policję.

—Mieszkał gdzieś w Surrey.

—Walliston, za obwodnicą Kingston. Tuż za obszarem miejskim. Kiedy przyjechała policja, znaleźli list do ministra spraw zagranicznych na podłodze obok ciała. Superintendent zadzwonił do naczelnika policji, który zadzwonił do oficera dyżurnego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, który zadzwonił do dyżurnego urzędnika w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i w końcu dostali pozwolenie na otwarcie tego listu. Potem zaczęła się zabawa.

—Mów dalej.

—Dyrektor do spraw personalnych w Ministerstwie Spraw Zagranicznych zadzwonił do nas. Chciał, żeby mu podać domowy numer doradcy. Powiedział, że to ostatni raz, kiedy bezpieczeństwo grzebie w jego departamencie, że Fennan był lojalnym i utalentowanym urzędnikiem, bla... bla... bla...

—Bo taki był, właśnie taki.

—Powiedział, że cała afera wskazuje jednoznacznie, że bezpieczeństwo przekracza swoje kompetencje - gestapowskie metody, dla których nawet autentyczne zagrożenie nie stanowi okoliczności łagodzących... Dałem mu numer doradcy i zadzwoniłem do niego z innego telefonu, gdy dalej się wściekał. Pod wpływem nagłego przypływu geniuszu przełączyłem ministerstwo na jedną linię, a Mastona na drugą i przekazałem mu nowinę. To było o dwunastej. Maston był tu już o pierwszej, cały w nerwach - będzie musiał stanąć do raportu przed ministrem jutro rano. Na chwilę zapadła cisza. Guillam nalał kawy do kubków i dodał wrzącej wody z elektrycznego czajnika.

—Jaki on był? - zapytał.

—Kto? Fennan? Cóż. do dzisiejszego wieczoru wydawało mi się. że wiem. Teraz to wszystko nie ma sensu. Był Żydem. Pochodził z ortodoksyjnej rodziny, ale odrzucił to wszystko w Oksfordzie i został marksistą. Bystry, kulturalny... świetny mówca i jeszcze lepszy słuchacz. Wykształcony, o dużej wiedzy. Ktokolwiek na niego doniósł, nie mylił się: on był w partii.

—Ile miał lat?

—Czterdzieści cztery. Ale wyglądał na więcej - mówiąc to, Smiley rozglądał się po niewielkim pomieszczeniu. - ...wyrazista twarz, gęste, proste czarne włosy uczesane po studencku. profil dwudziestojednolatka. gładka, sucha skóra, nieco błada. I bardzo pobrużdżona, cała w głębokich zmarszczkach. Długie, cienkie palce... facet z rodzaju tych zamkniętych w sobie, co samotnie oddają się przyjemnościom. I cierpią też w samotności.

Wstali, gdy w drzwiach pojawił się Maston.

—Ach, Smiley, jesteś. Przejdźmy do mojego gabinetu. - Uniósł łewą rękę, żeby wskazać drogę. W gabinecie Mastona nie było ani jednego rządowego mebla. Kiedyś kupił kolekcję dziewiętnastowiecznych akwrel i niektóre z nich wisiały na ścianach. Reszta była ze sklepu. Maston też był prosto ze sklepu, jeśli o to chodzi. Jego garnitur był zbyt lekki, by budzić respekt; łańcuszek monokla opadał wzdłuż nieodmiennie kremowej koszuli. Nosił jasnoszary wełniany krawat. Niemiec nazwałby go flott. pomyślał Smiley; szyków ny. oto jaki jest - marzenie barmanki o prawdziwym dżentelmenie.

—Widziałem się ze Sparrowem. To oczywisty przypadek samobójstwa. Ciało zostało zabrane i szef policji nie podjął żadnych działań poza zwyczajnymi formalnościami. W ciągu dnia, dwóclitrowe rozpocznie się rutynowe dochodzenie. Uzgodniono - co chcę podkreślić z całą mocą. Smiley - że żadna informacja dotycząca naszego zainteresowania Fennanem nie może dotrzeć do prasy. Rozumiem. - Jesteś niebezpieczny, Maston. Jesteś słaby i wystraszony. Niech spadną wszystkie głowy, zanim spadnie twoja, myślisz. Patrzysz na mnie w ten sposób, mierzysz mi kark pod topór. i Nie myśl, Smiley, że cię krytykuję; w końcu, skoro dyrektor bezpieczeństwa autoryzował to przesłuchanie, nie masz się czego obawiać.

—Poza Fennanem.

—Właśnie. Niestety, dyrektor bezpieczeństwa nie podpisał twojej notatki sugerującej przesłuchanie. Zapewne autoryzował ją ustnie?

—Tak. Jestem pewien, że to potwierdzi.

Maston znów popatrzył na Smileya, ostro, oceniająco. Smiley zignorował to spojrzenie. Wiedział, że Maston chce, aby wspólnie konspirowali.

—Wiesz, że urząd Fennana skontaktował się ze mną?

—Wiem.

—Ma być dochodzenie. Możliwe, że nie uda się utrzymać prasy na odległość. Pierwszą rzeczą, jaką zrobię rano, będzie spotkanie z ministrem spraw wewnętrznych. - Nastraszył mnie i znów próbuje... Zaczynam rozumieć... rozważmy emeryturę... i to, czy jeszcze nadaję się do pracy... ale nie będę uczestniczył w twoim kłamstwie, Maston. - Muszę znać wszystkie fakty, Smiley. Muszę wypełnić swój obowiązek. Jeśli jest coś, o czym powinieneś mi powiedzieć na temat tego przesłuchania, cokolwiek, czego może nie zapisałeś, powiedz mi o tym teraz i pozwól, że osądzę znaczenie tego faktu.

—Nie, naprawdę nie mam nic do powiedzenia oprócz tego, co już jest w aktach i co ci powiedziałem wcześniej. Może będzie dla ciebie pomocne - to „ciebie” powinno zabrznieć odrobinę mocniej - może będzie dla ciebie pomocne, jeśli powiem, że prowadziłem przesłuchanie w atmosferze całkowicie nieformalnej. Zarzuty wobec Fennana były mizerne - członkostwo na uniwersytecie w latach trzydziestych i ogólnikowe wypowiedzi świadczące o obecnych sympatiach. Połowa gabinetu należała do partii w latach trzydziestych. - Maston nachmurzył się. - W jego biurze w Ministerstwie Spraw Zagranicznych wciąż kręcili się jacyś ludzie, więc zaproponowałem, żebyśmy poszli na spacer do parku.

—No i?

—No i poszliśmy. Dzień był słoneczny, chłodny i raczej przyjemny. Patrzyliśmy na kaczki. - Maston wykonał gest zdradzający zniecierpliwienie. — W parku spędziliśmy około pół godziny. To on

mówił przez cały czas. Był inteligentny, elokwentny i interesujący. Ale był też nerwowy. Tacy ludzie kochają mówić o sobie i myślę, że podobało mu się, że może się wygadać. Opowiedział mi całą historię, a potem poszliśmy do jego ulubionego baru espresso niedaleko Millbank.

—Dokąd?

—Do baru espresso. Mają tam specjalny rodzaj kawy po szylingu za filiżankę.

—Rozumiem. To były te... przyjazne okoliczności, w których powiedziałeś mi, że departament będzie rekomendował niepodejmowanie działań.

—Tak. Często to robimy, ale zazwyczaj nie protokołujemy tego.

Maston skinął głową. Takie rzeczy on doskonale rozumie, pomyślał Smiley. Boże drogi, on naprawdę jest godny pogardy.

—Mogę z tego wnosić, że jego samobójstwo - i list, oczywiście - były dla ciebie całkowitym zaskoczeniem? Nie znajdujesz wyjaśnienia?

—Byłoby godne uwagi, gdybym jakieś znalazł.

—Nie masz pojęcia, kto go zadenuncjował?

—Nie.

—Był żonaty, wiesz.

—Tak.

—Zastanawiam się... niewykluczone, że jego żona mogłaby wypełnić niektóre luki. Waham się, czy to zaproponować, ale może ktoś z departamentu powinien spotkać się z nią i przesłuchać ją w tej sprawie.

—Teraz? - Smiley spojrzał na niego bez wyrazu.

Maston stał przy swoim wielkim biurku, bawiąc się nożem do papieru, pudełkiem na papierosy i zapalniczką-zestawem oficjalnej gościnności. Dosładza, jak może, pomyślał Smiley, a przy okazji podziwiał swoje białe dłonie. Maston podniósł wzrok, na jego twarzy pojawił się nieszczerzy uśmiech.

—Smiley, wiem, jak się czujesz, ale mimo całej tej tragedii postaraj się zrozumieć nasze położenie. Minister i sekretarz stanu będą chcieli dostać możliwie najpełniejszy raport z tej sprawy, a moim zadaniem jest dostarczenie go. Zwłaszcza informacji, które wskazywałyby na stan umysłu Fennana zaraz po jego rozmowie z... z nami. Może rozmawiał o tym z żoną. Nie sądzę, żeby to zrobił, ale musimy być realistami.

—Chcesz, żebym ja tam poszedł?

—Ktoś musi. Będzie prowadzone dochodzenie. Zdecyduje o tym, rzecz jasna, sekretarz stanu, ale obecnie po prostu nie dysponujemy faktami. Czasu jest mało, a ty znasz sprawę. Nie ma więc nikogo innego, komu można by ją powierzyć. Jeśli ktokolwiek pójdzie, będziesz to ty, Smiley.

—Kiedy mam tam pójść?

—Pani Fennan jest niezwykle kobietą. To cudzoziemka. I Żydówka, więc wnoszę, że mocno ucierpiała podczas wojny, co dodatkowo komplikuje sytuację. To kobieta o silnej osobowości, bardzo spokojnie zareagowała na śmierć męża. Bez wątplenia tylko zewnątrz. Ale jest sensowna i komunikatywna. Dowiedziałem się od Sparrowa, że jest chętna do współpracy, i prawdopodobnie spotka się z tobą, gdy tylko tam dotrzesz. Policja w Surrey może ją uprzedzić, że przyjedziesz i będziesz mógł się z nią spotkać z samego rana. Zadzwoń tam do ciebie później, w ciągu dnia.

Smiley odwrócił się, żeby odejść.

—Och, jeszcze jedno... - Poczuł rękę Mastona na ramieniu i odwrócił się, żeby na niego spojrzeć.

Maston przybrał uśmiech zazwyczaj zarezerwowany dla starszych pań ze służb specjalnych. - Możesz na mnie liczyć, Smiley, możesz liczyć na moje poparcie.

Mój Boże, pomyślał Smiley, ty rzeczywiście pracujesz dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jesteś jak kabaret „Nigdy nie zamykamy”. Wyszedł na ulicę.

Elsa Fennan

Merridale Lane to jeden z tych zakątków Surrey, którego mieszkańcy prowadzą nieustanną wojnę ze stygmatami przedmieścia. Drzewa, skuszone nawozem do rośnięcia we wszystkich ogródkach przed domami, przesłaniały przycupnięte za nimi przyciasne „oryginalne mieszkania”. Rustykalność otoczenia wzmacniały drewniane sowy dzierzące straż nad nazwami domów i spróchniałe krasnale niestrudzenie tkwiące nad sadzawkami, w których pływały złote rybki. Mieszkańcy Merridale Lane nie malują krasnali, sądząc, że to nie przystoi ludziom z miasta. Z tego samego powodu nie lakierują sów; ale cierpliwie czekają, aż lata obdarzą te skarby wyglądem zwietrzałych staroci i pewnego dnia nawet belki garażu będą się mogły poszczycić żuczkami i kornikami.

Nie jest to właściwie ślepa uliczka, chociaż pośrednicy w handlu nieruchomościami tak utrzymują; jej koniec, ten bardziej odległy od obwodnicy Kingston, przechodzi w zwirową ścieżkę, która wiedzie przez Merries Field - ku następnej uliczce, takiej samej jak Merridale. Mniej więcej do 1920 roku ścieżka ta prowadziła do kościoła parafialnego. Ale teraz kościół stoi na czymś, co właściwie jest wysepką przy drodze do Londynu, a ścieżka, którą niegdyś wierni podążali na modły, stała się zbytecznym łącznikiem między mieszkańcami Merridale Lane a Ca-dogan Road. Pas niezabudowanego terenu, zwany Merries Field, zdołał osiągnąć sławę wyrastającą daleko ponad jego własne aspiracje; wbił się klinem w radę dzielnicy, pomiędzy inwestorów budowlanych a zwolenników status quo, i to tak skutecznie, że pewnego razu cała maszynaria lokalnego samorządu w Walliston została zablokowana. W rezultacie wytworzył się pewien naturalny kompromis: Merries Field nie są ani puste, ani zabudowane przez trzy stalowe pylony rozstawione na nich w regularnych odstępach. Pośrodku znajduje się pokryta słomianym dachem chatka nazywana pomnikiem Schronu z Okresu Wojny. Wzniesiona w 1951 roku jako wyraz pamięci o poległych w dwóch wojnach służy za cichą przystań dla starych i zmęczonych ludzi. Nikt nie wie, jaki interes mogliby mieć starzy i zmęczeni na Merries Field. Ale pająki znalazły sobie cichą przystań w dachu, a dla budowniczych pylonów chatka była wyjątkowo wygodnym miejscem do leśerowania.

Smiley dotarł tam tuż po ósmej rano. Samochód zostawił na parkingu przy komisariacie, co znaczyło, że czekał go dziesięciominutowy spacer.

Lało, deszcz był tak zimny, że wydawał się twardy, gdy padał na twarz.

Policja w Surrey nie interesowała się już sprawą ale Sparrow wysłał do komisariatu funkcjonariusza z wydziału specjalnego, który gdyby zaszła taka potrzeba, miał pełnić funkcję łącznika pomiędzy służbami bezpieczeństwa a policją. Okoliczności śmierci Fennana wydawały się oczywiste. Przyczyną zgonu był strzał w skroń z małego francuskiego pistoletu wyprodukowanego w Lille w 1957 roku. Pistolet znaleziono pod ciałem. Wszystko wskazywało na samobójstwo.

Merridale Lane numer 15 był to niski dom w stylu Tudorów z sypialniami we frontowej części i na pół drewnianym garażem. Unosiła się wokół niego atmosfera zaniedbania, a nawet porzucenia. Mogliby w nim mieszkać artyści, pomyślał Smiley. Fennan nie pasował do tego miejsca. Kojarzył się raczej z Hampstead i młodymi cudzoziemkami pomagającymi w domu w zamian za utrzymanie i drobne kieszonkowe.

Smiley otworzył bramę i powoli poszedł podjazdem w stronę drzwi frontowych, na próżno starając się dostrzec jakieś ślady życia przez zatopione w ołowiu okno. Było bardzo zimno. Nacisnął guzik dzwonnka.

Drzwi otworzyła Elsa Fennan.

— Dzwonili i pytali, czy nie miałabym nic przeciwko temu. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Proszę wejść. — Mówiła z lekkim niemieckim akcentem.

Musiała być starsza od Fennana. Smukła kobieta po pięćdziesiątce z bardzo krótko obciętymi włosami ufarbowanymi na kolor nikotyny.

Chociaż była krucha, roztaczała aurę niezłomności i odwagi, a jej brązowe oczy lśniły zadziwiająco intensywnie w drobnej twarzy o nieregularnych rysach. Była to zniszczona twarz, udręczona i spustoszona dawno temu, twarz dziecka, które dorastało w głodzie i wyczerpaniu, twarz wiecznego uciekiniera, twarz z obozu koncentracyjnego, pomyślał Smiley.

Podążyła mu dłoń - wyszorowaną i różową, twardą w uścisku. Przedstawił się.

—To pan przesłuchiwał mojego męża w sprawie lojalności - powiedziała. Zaprowadziła go do niskiego, ciemnego salonu. Nie było tam kominka. Smiley poczuł się nagle chory i pusty. Lojalność wobec kogo, wobec czego. W jej słowach nie było urazy. Był gnębicielem, ale ona akceptowała gnębienie.

—Pani mąż bardzo mi się spodobał. Zostałby oczyszczony.

—Oczyszczony? Oczyszczony z czego?

—Było podejrzenie, podstawa do dochodzenia - anonimowy list. Zlecono mi to zadanie. -

Przerwał i spojrzał na nią ze szczerą troską. - Poniosła pani wielką stratę, pani Fennan. Na pewno nie spała pani całą noc. Musi pani być wyczerpana.

Nie zareagowała na jego wyrazy współczucia.

—Dziękuję, ale ostatnio nie mam co liczyć na sen. Sen to luksus nie dla mnie. - Popatrzyła na swoje wątłe ciało. - Moje ciało i ja musimy ze sobą przestawać przez całą dobę. I tak żyjemy już dłużej niż wielu innych. A co do wielkiej straty. Tak, myślę, że tak jest. Ale wie pan, panie Smiley, bardzo długo nie miałam niczego poza szczoteczką do zębów i jeszcze nie przyzwyczaiałam się do posiadania czegokolwiek, nawet po ośmiu latach małżeństwa.

Wskazała mu krzesło, dziwnie staroświeckim gestem wygładziła sukienkę i usiadła naprzeciw niego. W pokoju było bardzo zimno. Smiley zastanawiał się, czy powinien coś powiedzieć. Nie śmiał na nią spojrzeć; patrzył przed siebie, starając się rozgryźć tę zniszczoną, bardzo doświadczoną twarz Elsy Fennan. Upłynęło sporo czasu, zanim znów się odezwała.

—Powiedział pan, że się panu spodobał. Najwyraźniej nie odwzajemnił się panu tym samym.

—Nie widziałem listu pani męża, ale znam jego treść. - Poważna twarz Smileya zwrócona była teraz w jej stronę. — To po prostu nie ma sensu. Bo ja, wie pani, powiedziałem mu... że zalecimy wstrzymanie sprawy.

Nie ruszała się, czekała na dalsze słowa. Ale co mógł powiedzieć: „Przepraszam, że zabiłem pani męża, ale wykonywałem tylko mój obowiązek. - Wobec kogo, na litość boską? - Dwadzieścia cztery lata temu był członkiem partii komunistycznej w Oksfordzie; dzięki ostatniemu awansowi miał dostęp do ściśle tajnych informacji. Jakiś życzliwy napisał do nas anonim i nie mieliśmy wyboru, musieliśmy pociągnąć sprawę. Dochodzenie wywołało w pani mężu melancholię i doprowadziło go do samobójstwa”. Nic nie powiedział.

—To była gra - odezwała się nagle - głupie żonglowanie ideami; to nie miało nic wspólnego z nim ani z kimkolwiek innym. Dlaczego się nami interesujecie? Niech pan wraca do Whitehall i szuka następnych szpiegów. - Przerwała, nie okazywała po sobie żadnych uczuć, nie licząc płonących czarnych oczu. - Cierpi pan na starą chorobę, panie Smiley - powiedziała, wyjmując papierosa z pudełka - a ja widziałam wiele jej ofiar. Umysł oddziela się od ciała; działa poza rzeczywistością, w papierowym królestwie i obmyśla bez emocji ruinę swoich papierowych ofiar. Ale czasem rozdział pomiędzy waszym światem a naszym jest niepełny; teczkom wyrastają głowy, ramiona i nogi. To jest straszna chwila, prawda? Nazwiska miewają rodziny, uczucia i ludzkie motywy tłumaczące ich smutne, małe dossier i fikcyjne grzechy. Kiedy tak się dzieje, jest mi was żal. -

Przerwała na chwilę i podjęła wątek: -To jest tak jak z państwem i ludem. Państwo to też sen, symbol niczego, pustki, umysł bez ciała, rozgrywka w chmurach. Ale to państwa prowadzą wojny i więżą ludzi. Śnić doktrynami -jakież to uporządkowane! Mój mąż i ja zostaliśmy teraz uporządkowani, prawda?

Patrzyła na niego bez mrugnięcia okiem. Jej akcent był teraz wyraźniejszy.

—Wy nazywacie siebie państwem, panie Smiley; dla was nie ma miejsca między prawdziwymi ludźmi. Zrzućcie z nieba bomby, ale nie schodźcie na dół, żeby popatrzeć na krew i usłyszeć krzyk.

Mówiła spokojnie, patrząc teraz gdzieś ponad nim.

—Bylibyście zszokowani, płakalibyście. Ale ja już nie mam łez, panie Smiley. Jestem jałowa; dzieci mojego żalu są martwe. Dziękuję, że pan przyszedł, panie Smiley. Teraz może pan wracać - nie ma pan tu już nic do roboty. Wyprostował się na krześle, pulchne dłonie złożył jedna na drugiej na kolanach. Wyglądał świętoszkowato i zarazem trochę niepewnie, jak nieuczciwy sklepikarz czytający Biblię. Twarz miał bladą, tylko pod oczami widać było jasnofioletowe półksiężycy, częściowo przesłonięte grubą oprawką okularów.

—Niech pani posłucha, pani Fennan, to przesłuchanie było właściwie formalnością. Myślę, że spodobało się pani mężowi i że nawet był szczęśliwy, że wreszcie z tym skończył.

—Jak pan może mówić takie rzeczy, jak pan może, teraz, gdy...

—Ale to prawda. Przecież my nawet nie rozmawialiśmy w urzędzie. Kiedy tam przyszedłem, zobaczyłem, że biuro Fennana to coś w rodzaju przejściówki między dwoma innymi pokojami. Wyszliśmy więc do parku i usiedliśmy w kawiarni - widzi pani jakie to było przesłuchanie. Powiedziałem mu, żeby się nie martwił - właśnie to mu powiedziałem. Ja po prostu nie rozumiem tego listu, on nie ma...

—Nie o list mi chodzi, panie Smiley, ale o to, co on mi powiedział.

—Go pani ma na myśli?

—Był głęboko zaniepokojony tym przesłuchaniem, tak mi powiedział. Kiedy wrócił w poniedziałkowy wieczór, był roztrzęsiony, mówił bez ładu i składu. Rzucił się na fotel, a ja namówiłam go, żeby poszedł do łóżka. Dałam mu środek uspokajający. Wystarczył mu na pół nocy. Rano nadal o tym mówił. Myślał tylko o tym aż do śmierci, i..

Na górze zadzwonił telefon. Smiley wstał.

—Przepraszam - to do mnie z biura. Pozwoli pani?

—Jest w przedniej sypialni, dokładnie nad nami.

Smiley powoli szedł po schodach. Był kompletnie zdezorientowany. Co, na Boga, powie teraz Mastonowi?

Podnosząc słuchawkę, spojrzał odruchowo na numer aparatu.

—Walliston 2944.

—Tu centrala. Dzień dobry. Zamówiono budzenie na ósmą trzydzieści.

—Och... och, bardzo dziękuję.

Odłożył słuchawkę, wdzięczny za chwilę wytchnienia. Rozejrzał się po pokoju. To była sypialnia Fennana, skromna, ale wygodna. Przed gazowym kominkiem stały dwa fotele. Smiley przypomniał sobie, że Elsa Fennan była przykuta do łóżka przez trzy lata po wojnie. Fotele pochodziły prawdopodobnie z tego okresu, kiedy wieczorami razem siadywali w sypialni. Wnęki po obu stronach kominka były wypełnione książkami. W kącie na biurku stała maszyna do pisania. W wystroju sypialni było coś intymnego i wzruszającego i Smiley po raz pierwszy bezpośrednio odczuł tragedię śmierci Fennana. Wrócił do salonu.

—To było do pani. Zamawiała pani budzenie na ósmą trzydzieści.

Przerwał, jakby czekał na wyjaśnienia. Ale ona odwróciła się od niego i stała w milczeniu, patrząc przez okno. Smukłe plecy miała proste i nieruchome, jej gęste, krótkie włosy czerniały w porannym świetle. Nagle coś mu się skojarzyło, coś, z czego powinien sobie zdać sprawę jeszcze na górze, w sypialni, coś tak nieprawdopodobnego, że przez chwilę jego mózg nie był w stanie tego ogarnąć. Musi się stąd wyrwać, znaleźć z dala od telefonu i histerycznych pytań Mastona, z dala od Elsy Fennan i jej ciemnego, ponurego domu. Z dala od wszystkiego, żeby pomyśleć.

— Za długo się pani narzucałem, pani Fennan. Zastosuję się do pani rady i wrócę do Whitehall.

Podawała mu rękę. Ściskając jej zimną drobną dłoń, wymamrotał wyrazy współczucia. Zdjął płaszcz z wieszaka i wyszedł. Przestało padać. Błade promienie zimowego słońca odbijały się w wilgotnych konarach drzew i szarych ścianach domów przy Merridale Lane. Niebo było nadal ciemnoszare, a świat pod nim dziwnie fosforyzował, oddając światło słoneczne, które wykradł znikąd.

Smiley szedł powoli żwirową ścieżką pełen niespokojnych myśli. To nie Elsa Fennan zamówiła budzenie na ósmą trzydzieści tego ranka.

Kawiarnia przy fontannie

Superintendent policji kryminalnej w Walliston był potężnym, sympatycznym mężczyzną, który mierzył kompetencję zawodową latami służby i nie widział w tym zwyczaju niczego niestosownego. Inspektor od Sparrowa, Mendel, był - na odwrót - chudym dżentelmenem o twarzy łasicy; mówił bardzo szybko, unosząc przy tym tylko kąciki ust. Smiley porównywał go w myślach do łowczego - człowieka, który zna swoje terytorium i nie lubi intruzów.

—Dostałem wiadomość z pańskiego departamentu, sir. Ma pan natychmiast zadzwonić do doradcy. - Superintendent wskazał ogromną dłońią telefon i wyszedł przez otwarte drzwi swojego gabinetu. Mendel został. Smiley patrzył na niego przez chwilę swoim wzrokiem, próbując go rozgryźć!

—Proszę zamknąć drzwi.

Mendel podszedł do drzwi i cicho je zamknął.

—Chcę zdobyć pewne informacje z centrali telefonicznej Walliston. Kto tam jest najsensowniejszy?

—Zastępczyni kierownika. Kierownik zawsze buja w obłokach; ona odważa całą robotę.

—Ktoś z Merridale Lane 15 zamówił budzenie na ósmą trzydzieści dziś rano. Chcę wiedzieć, o której zgłoszono zamówienie i kto to zrobił. Chcę też ustalić, czy były jakieś zamówienia na dziś rano, a jeśli tak, to kto je zgłosił.- Zna pan numer?

— Walliston 2944. Abonent Samuel Fennan, jak sądzę.

Mendel podszedł do telefonu i wykręcił zero. Czekając na połączenie, zwrócił się do Smileya:

— Nie chce pan, żeby ktoś się o tym dowiedział?

— Zgadza się. Prawdopodobnie nic się za tym nie kryje. Ale jak tylko zaczniemy paplać o morderstwie, to...

Mendel dodzwonił się do centrali i poprosił zastępcę kierownika.

— Wydział zabójstw z Walliston, biuro superintendenta. Prowadzimy śledztwo... tak, oczywiście... więc niech pani oddzwoni do mnie... miejska linia wydziału, Walliston 2421.

Odłożył słuchawkę i czekał, aż centrala zadzwoni do niego.

— Rozsądna dziewczyna - mruknął, nie patrząc na Smileya. Telefon zadzwonił i Mendel zaczął natychmiast mówić. - Prowadzimy śledztwo w sprawie włamania na Merridale Lane. Numer 18.

Prawdopodobnie w domu pod 11 mieli punkt obserwacyjny. Możecie sprawdzić, czy w ciągu ostatniej doby były jakieś połączenie z numerem albo z numeru Walliston 2944?

Przerwa. Mendel położył dłoń na mikrofonie i spojrzał na Smileya z lekkim uśmiechem. Smiley poczuł do niego sympatię.

— Pyta dziewczyn - powiedział Mendel - i przejrzy pokwitowania.

Wrócił do telefonu i zaczął zapisywać cyfry na bloczku superintendenta. Nagle zeszywniał i nachylił się nad biurkiem.

— O, tak. - Głos miał swobodny, kontrastujący z postawą. - Ciekawe, kiedy o to prosiła? - Znów przerwa... - Dziewiętnasta pięćdziesiąt pięć... mężczyzna? Dziewczyna jest pewna?... Och, rozumiem, to wyjaśnia sprawę. Dziękuję, bardzo dziękuję. No cóż, przynajmniej wiemy, na czym stoimy... wcale nie, ogromnie nam pani pomogła... tylko teoretycznie, to wszystko... musimy ponownie to przemyśleć, prawda? Cóż, jeszcze raz dziękuję. To uprzejme z pani strony, proszę to zachować dla siebie... Ukłony. - Odłożył słuchawkę, wydarł kartkę z bloczku i włożył ją do kieszeni. Telefon dzwonił; Smiley prawie że wyczuwał Mastona po tamtej stronie linii.

— Przy drodze jest jakaś koszmarna kawiarenka - powiedział. - Muszę zjeść śniadanie. Chodźmy, napijemy się kawy.

Mendel popatrzył na niego przez chwilę i chyba zrozumiał. Nie czekając, aż telefon przestanie dzwonić, wyszli z komisariatu i skierowali się ku High Street.

Kawiarnia Przy Fontannie, właścicielka i pani Gloria Adam, której wnętrze zdobiły różne elementy końskiej uprzęży, oferowała gościom miejscowy miód za cenę o sześć pensów wyższą niż gdziekolwiek indziej. Sama pani Adam serwowała najpaskudniejszą kawę na południe od Manchesteru i mówiła o swoich klientach „moi przyjaciele”. Nie robiła interesów na przyjaciołach, ona po prostu ich obdzierała, co w jakiś sposób podsycalo iluzję dystygowanej amatorszczyzny, o którą tak dbała.

Pochodzenie pani Adam było niejasne, ale często mówiła o swoim zmarłym ojcu jako o „pułkowniku”. Wśród tych z grona przyjaciół pani Adams, którzy szczególnie dużo zapłacili za tę przyjaźń, krążyła plotka, że ów tytuł został mu nadany przez Armię Zbawienia.

Mendel i Smiley usiedli w rogu, niedaleko kominka, i czekali, żeby złożyć zamówienie. Mendel spojrzal na Smileya i rzekł:

—Dziewczyna doskonale zapamiętała ten telefon; był na sam koniec jej zmiany - za pięć ósma ubiegłego wieczoru. Zamówienie na budzenie o ósmej trzydzieści dziś rano. Złożył je osobiście Fennan, dziewczyna jest tego pewna.

—Dlaczego?

—Ten Fennan dzwonił do centrali na Boże Narodzenie i ta sama dziewczyna miała dyżur. Życzył wszystkim wesołych świąt. Pogawędzili sobie trochę. Jest pewna, że wczoraj to był ten sam głos. „Bardzo kulturalny pan”, powiedziała.

—Fennan napisał list pożegnalny o dziesiątej trzydzieści. Co się stało między ósmą a wpół do jedenastej?

Mendel podniósł starą, zniszczoną aktówkę. Nie miała zamka, wyglądała raczej jak teczka na nuty. Wyjął z niej szarą papierową teczkę i wręczył ją Smileyowi.

—Faksymile listu. Szef powiedział, żeby dać panu kopię. Oryginał przesyłają do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a drugą kopię prosto do Marleny Dietrich.

—A kto to jest, u diabła?

—Przepraszam, sir. Tak nazywamy pańskiego doradcę. Bardzo rozpowszechnione w branży. Bardzo przepraszam, sir.

Jak pięknie, pomyślał Smiley, doprawdy cudownie. Otworzył teczkę i popatrzył na faksymile. Mendel dalej mówił:

—Pierwszy list samobójczy pisany na maszynie, jaki kiedykolwiek widziałem. W ogóle pierwszy, jaki widziałem, jeśli o to chodzi. Ale podpis zdaje się w porządku. Sprawdziliśmy na komisariacie, porównując go z kwitem z biura rzeczy znalezionych, który kiedyś podpisał. Jasne jak słońce. List został napisany na maszynie, prawdopodobnie przenośnej. Jak anonimowy donos; też był pisany na przenośnej maszynie. Ale ten został opatrzony czytelnym, eleganckim podpisem Fennana. Pod adresem, u góry stronicy widniała data, a pod nią godzina: dwudziesta druga trzydzieści.

Szanowny sir Davidzie,

po pewnych wahaniach postanowiłem odebrać sobie życie. Nie mogę spędzić lat. jakie mi pozostały, w atmosferze nielojalności i podejrzeń. Zdaję sobie sprawę, że moja kariera legła w gruzach, że padłem ofiarą płatnych informatorów.

Pański oddany Samuel Fennan

Smiley przeczytał list kilka razy. Zastanawiał się nad jego treścią, gdy Mendel spytał:

—Jak pan na to wpadł?

—Na co?

—Na tę sprawę z porannym telefonem.

Odebrałem telefon, bo myślałem, że to do mnie. Ale nie był do mnie - to było budzenie. Nawet wtedy mnie to nie zaskoczyło. Pomyślałem, że to ona zamówiła, rozumie pan. Zszedłem na dół i powiedziałem jej.

Na dół?

Tak. Mają telefon w sypialni. Ona przez kilka lat była niesprawna, wie pan, i zostawili pokój taki, jak był wtedy. Tak mi się zdaje. Wygląda jak gabinet; książki, maszyna do pisania, biurko i tak dalej.

—Maszyna do pisania?

—Tak. Przenośna. Sądzę, że to na niej napisał list. Ale widzi pan, kiedy odebrałem ten telefon, nie pomyślałem, że pani Fennan raczej nie mogła go zamówić.

Dlaczego nie?

—Cierpi na bezsenność - tak mi powiedziała. Nawet dowcipkowała na ten temat. Gdy powiedziałem jej, żeby trochę odpoczęła, ona po prostu odparła: „Moje ciało i ja musimy ze sobą przestawać przez całą dobę. I tak żyjemy już dłużej niż wielu innych”. Wspomniała też coś o niemożności skorzystania z luksusu snu. Po co więc miałaby zamawiać budzenie na ósmą trzydzieści?

—A po co miałby to robić jej mąż? To dość późna godzina dla urzędnika służby państwowej.

—Właśnie. Mnie to też dziwi. Wprawdzie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zaczyna pracę dopiero o dziesiątej, ale przecież Fennan musiał się ubrać, ogolić, zjeść śniadanie i złapać kolejkę na czas. Poza tym żona mogła go obudzić.

—Może tylko tak gadała, że nie może zasnąć - spekulował Mendel. - Kobiety często mówią o bezsenności, migrenie i takich sprawach. Żeby ludzie myśleli, że są nerwowe i pełne temperamentu.

Smiley pokręcił głową.

—Nie, to nie ona zamawiała budzenie. Nie było jej w domu do dziesiątej czterdzieści pięć. A jeśli nawet założymy, że pomyliła się co do godziny powrotu, to nie mogła podejść do telefonu i nie zobaczyć najpierw ciała męża. Nie wmówi mi pan, że jej reakcją na widok zwłok było pójście na górę i zamówienie budzenia.

Przez chwilę w milczeniu pili kawę.

—Jest jeszcze coś - odezwał się Mendel.

Co takiego?

—Jego żona wróciła z teatru za kwadrans jedenasta, zgadza się?

—Tak, tak twierdzi.

—A czy poszła do teatru sama?

—Nie mam pojęcia.

—Założę się, że nie. Ale musiała podać prawdziwy czas powrotu. Pewnie więc dopisała godzinę w liście, żeby mieć alibi.

Smiley pomyślał o Elsie Fennan, o jej gniewie, jej rezygnacji. Podejrzenia Mendla wydawały mu się śmieszne. Nie, nie Elsa Fennan. Nie ona.

—Gdzie znaleziono zwłoki?-zapytał.

—U podstawy schodów.

—U podstawy schodów?

—Zgadza się. Rozciągnięte na podłodze holu. Rewolwer leżał pod ciałem.

—A list. Gdzie był?

—Obok zwłok, na podłodze.

—Coś jeszcze?

—Tak. W salonie stał kubek kakao.

—Rozumiem. Fennan postanawia popełnić samobójstwo. Zamawia budzenie na ósmą trzydzieści. Robi sobie kakao i stawia je w salonie. Idzie na górę i pisze pożegnalny list. Wraca na dół, żeby się zastrzelić, i zostawia kakao nипwypite. To wszystko ślicznie się wiąże.

—Tak, rzeczywiście? A przy okazji, czy nie powinien pan zadzwonić do swojego biura?

Smiley popatrzył na Mendla.

—To koniec pięknej przyjaźni - powiedział.

Idąc w stronę automatu telefonicznego przy drzwiach z napisem „Obcym wstęp wzbroniony”, usłyszał: p — Założę się, że pan tak mówi do wszystkich chłopaków.

Uśmiechał się, gdy prosił o połączenie z Mastonem.

Maston chciał go natychmiast widzieć.

Wrócił do stolika. Mendel mieszał następną filiżankę kawy i zjadał wielkiego pączka.

—Muszę wracać do Londynu - powiedział Smiley.

- Cóż, to będzie tak, jakby wpuścić wilka między owce. Może nie? i Mendel mówił przednią częścią ust, bo kąciki zajęte były pączkiem.

—Jeśli Fennan został zamordowany, żadna siła na ziemi nie powstrzyma prasy od zajęcia się tą sprawą. - Spojrzał do Smileya i dodał: -Nie sądzę, żeby Mastonowi się to spodobało. Wolałby samobójstwo.

Tak czy inaczej, musimy się z tym uporać - odparł Smiley i zmarszczył brwi. Już słyszał, jak Maston drwi z jego podejrzeń. - Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Z powrotem do Londynu, z powrotem do Idealnego Biura Mastona, i powrotem do wyścigu szczurów i wzajemnego obwiniania się. Z powrotem do nierealnego świata papierów, gdzie ludzka tragedia musi się zmieścić w trzystronicowym raporcie.

Znów padało. Tym razem był to równy ciepły deszcz. Na krótkim odcinku między kawiarnią Przy Fontannie a komisariatem Smiley bardzo przemókł. Zdjął płaszcz i rzucił go na tył samochodu. Z ulgą opuścił Walliston - mimo że jechał do Londynu. Kiedy skręcał w główną ulicę, katem oka spostrzegł Mendla, który ze stoickim spokojem szedł w stronę komisariatu, w filcowym kapeluszu zdefasonowanym i poczerniałym od deszczu. Pomyślał, że Mendel mógłby chcieć, aby go podrzucić do Londynu. Zatrzymał samochód. Było mu trochę głupio, ale Mendel, nie przejmując się subtelnościami sytuacji, otworzył drzwi po stronie pasażera i wsiadł.

—Mam szczęście - powiedział. - Nienawidzę pociągów. Jedzie pan do Cambridge Circus? Może mnie pan wyrzucić przy Westminster Way?

Ruszyli. Mendel wyciągnął odrapaną zieloną puszkę na tytoń i skręcił sobie papierosa. Skierował go do ust, ale zmienił zamiar i zaproponował skręta Smileyowi. Zapalił go niezwykle zapalniczką buchającą kilkucentymetrowym niebieskim płomieniem.

Przejechali kilka mil i Smiley zatrzymał samochód na poboczu. Odwrócił się do Mendla.

—Będzie mi pan miał za złe, jeśli wrócę do Walliston?

—Dobry pomysł. Niech pan jedzie i ją zapyta.

Smiley zawrócił i pojechał powoli do Walliston, na Merridale Lane. Zostawił Mendla w samochodzie i poszedł znajomą zwirową ścieżką.

Otworzyła drzwi i bez słowa wprowadziła go do salonu. Była ubrana w tę samą sukienkę. Smiley zastanawiał się, jak spędzała czas, odkąd zostawił ją rano.

Chodziła po domu czy siedziała bez ruchu w salonie? Albo na górze, w sypialni ze skórzanymi fotelami? Jak się czuje w swoim nowym stanie wdowieństwa? Czy jest już zdolna to przyjąć, czy też nadal patrzy w lustro, usiłując wykryć zmianę, wyraz przerażenia na twarzy, i szlocha, gdy się jej to nie udaje?

Żadne z nich nie usiadło - oboje instynktownie unikali powtórki porannego spotkania.

—Jest jeszcze jedna rzecz, o którą muszę panią zapytać, pani Fen-nan. Bardzo przepraszam, że kłopotczę panią ponownie.

—Spodziewam się, że chodzi o ten telefon, poranny telefon z centrali.

—Tak.

—Domyślałam się, że to pana zdziwi. Człowiek cierpiący na bezsenność prosi o poranne budzenie. - Starła się mówić pogodnym tonem.

—Tak, rzeczywiście, to wydaje się dziwne. Często pani chodzi do teatru?

—Tak, raz na dwa tygodnie. Widzi pan, należę do klubu teatralnego Weybridge. Chodzę na wszystko, co wystawiają. Mam miejsce zarezerwowane na pierwszy wtorek każdego nowego przedstawienia. Mąż pracował we wtorki do późna. Nigdy mi nie towarzyszył; chodził tylko na sztuki klasyczne.

—Ale lubił Brechta, prawda? Wydawał się bardzo emocjonować przedstawieniami wystawianymi przez Berliner Ensemble w Londynie.

Patrzyła na niego przez chwilę i nagle się uśmiechnęła. Był to czarujący uśmiech; cała twarz rozjaśniła się jej jak u dziecka. Smiley wyobraził sobie Elbę jako dziewczynę - zwinną, szczupłą chłopczycę, jak Petite Fadette graną przez George Sand półkobietę, I wygadana kłamczuchę. Widział ją jako prowokatorkę, walczącą jak I kotka o swoje i widział ją też zagłodzoną i w obozie koncentracyjnym, I bezwzględna w walce o zachowanie własnej tożsamości. Przykro było I patrzeć na ten uśmiech, w którym widać było światełko dziecięcej niewinności, jak na zahartowaną broń w walce o przetrwanie. Obawiam się, że wyjaśnienie zabrzmia głupio — powiedziała. — Mam bardzo słabą pamięć, to naprawdę okropne, idę do sklepu i zapominam, co miałam kupić, umawiam się telefonicznie i zapominam w chwili, gdy odkładam słuchawkę. Zapraszam ludzi na weekend, a potem wychodzimy, kiedy oni przyjeżdżają. Dlatego od czasu do czasu, gdy muszę o czymś pamiętać, dzwonię do centrali i proszę o telefon na parę minut przed umówionym terminem. To jest jak supelek na chusteczce, ale supelek nie może zadzwonić, prawda?

Smiley przyglądał się jej przez chwilę. Poczłł suchość w gardle i musiał przełknąć, zanim się odezwał.

_ A w jakiej sprawie był ten telefon tym razem, pani Fennan?

Znów czarujący uśmiech.

— **TU** mnie pan ma. Zupełnie zapomniałam.

Maston i blask światec

Wracając do Londynu, Smiley zapomniał o obecności Mendla.

Były czasy, kiedy samo prowadzenie wozu przynosiło mu ulgę; w nierealności długiej samotnej podróży znajdował środek uśmierający dla swego skołatanego umysłu, bo zmęczenie kilkugodzinnej jazdą pozwalało mu zapomnieć o pośpieszniejszych sprawach.

Możliwe, że była to jedna z subtelnych oznak wieku średniego, że już nie potrafił opanować w ten sposób umysłu. Teraz potrzebował silniejszych środków: czasem nawet planował w myślach spacer po jakimś europejskim mieście - wymieniał, na przykład, wszystkie sklepy i budynki, obok których przechodziłby w Bremie od katedry do uniwersytetu. Ale pomimo takich ćwiczeń umysłowych nawiedzały go duchy terażniejszości i odsuwały marzenia na bok. To była Ann, która ukradła mu spokój, Ann, która niegdyś sprawiła, że terażniejszość stała się taka ważna, uzależniła go od rzeczywistości, a kiedy odeszła, nic nie pozostało.

Nie wierzył, żeby to Elsa Fennan zabiła swojego męża. Jej instynkty nastawione były na obronę, na gromadzenie skarbów życia, na budowanie symboli normalnej egzystencji. Nie było w niej agresji, tylko wola przetrwania.

Ale czy mógł być pewien? Jak to napisał Hesse? „Dziwnie jest wędrować we mgle, gdzie każdy jest samotny. Drzewa nie znają swoich sąsiadów. Każde jest samotne”. Nie wiemy o sobie nawzajem nic, zupełnie nic, myślał Smiley. Bez względu na to, jak blisko siebie żyjemy, bez względu na to, o jakiej porze dnia czy nocy zgłębiały nawzajem swoje myśli, nic o sobie nie wiemy. Jak mogę osądzać Elzę Fennan? Myślę, że rozumiem jej cierpienie, lęk i spowodowane nim kłamstwa, ale co wiem o niej samej? Nic.

Mendel wskazywał na znak drogowy.

—To tutaj mieszkam. Mitcham. Naprawdę nie najgorsze miejsce. Niedobrze mi już od osiedli z kawalerkami. Kupiłem sobie tutaj porządny bliźniak. Za moją emeryturę.

—Za emeryturę? To jeszcze kawał czasu.

—Tak. Trzy dni. To dlatego dostałem tę robotę. Nic takiego, żadnych komplikacji. Dajcie to staremu Mendlowi, niech zawali sprawę.

—Proszę, proszę. Obawiam się, że do poniedziałku obaj będziemy bezrobotni. Zawiózł Mendla do Scotland Yardu i pojechał dalej, na Cambridge Circus. Kiedy wszedł do budynku, zdał sobie sprawę, że wszyscy już wiedzą. Poznał to po sposobie, w jaki na niego patrzyli, po zachowaniu. Poszedł prosto do gabinetu Mastona. Sekretarka szefa siedziała za swoim biurkiem, gdy wszedł, obrzuciła go uważnym spojrzeniem. v - Jest doradca?

- Tak. Czeka na pana. Jest sam. Tylko zapukam i niech pan wchodzi. Ale Maston otworzył drzwi i już sam go wzywał. Miał na sobie czarny płaszcz i spodnie w prążki. No, to zaczyna się kabaret, pomyślał Smiley.

—Próbowałem się z tobą skontaktować. Nie docierały do ciebie moje telefony? - zapytał Maston.

—Docierały, ale nie mogłem z tobą rozmawiać.

—Nie bardzo rozumiem.

Cóż, nie wierzę, żeby Fennan popełnił samobójstwo - sędzę, że go zamordowano. Nie mogłem tego powiedzieć przez telefon. Maston zdjął okulary i popatrzył na Smileya kompletnie oszołomiony.

Zamordowany? Jak to?

—Fennan napisał list o dziesiątej trzydzięci ostatniego wieczoru, jeśli przyjąć, że czas podany na liście jest prawdziwy.

—I co z tego?

—O siódmej pięćdziesiąt pięć zadzwonił do centrali i zamówił budzenie na ósmą trzydzieści następnego dnia.

— Skąd, u licha, o tym wiesz?

—Byłem tam rano, kiedy zadzwoniono z centrali. Odebrałem telefon, myśląc, że dzwonią z departamentu.

—A skąd pewność, że to Fennan zamówił budzenie?

—Przeprowadziłem dochodzenie. Dziewczyna w centrali rozpoznała głos Fennana; była pewna, że to on i że zadzwonił za pięć ósma ubiegłego wieczoru.

—Czy Fennan i dziewczyna się znali?

—Dobry Boże, nie. Po prostu od czasu do czasu wymieniali uprzejmości.

—Nadal nie pojmuję, dlaczego sądzisz, że został zamordowany?

—Cóż, pytałem żonę o ten telefon...

I ?

—Skłamała. Powiedziała, że sama go zamówiła. Tłumaczyła, że jest strasznie zapominalska i każe od czasu do czasu dzwonić do siebie z centrali, kiedy ma ważne spotkanie; to jest jak wiązanie supełka na chusteczce. Jeszcze jedno - tuż przed oddaniem samobójczego strzału Fennan zrobił sobie kakao. Nie wypił go.

Maston słuchał w milczeniu. Wreszcie uśmiechnął się i wstał.

—Zdaje się, że mówimy o różnych rzeczach - powiedział.*- Wysłałem cię, żebyś się dowiedział, dlaczego Fennan się zastrzelił. Wracasz i mówisz, że się nie zastrzelił. Nie jesteśmy policjantami, Smiley.

—Nie. Czasem się zastanawiam, kim jesteśmy.

—Czy usłyszałeś o czymś, co mogłoby nas dotyczyć - o czymś, co wyjaśniałoby jego działanie? Co byłoby podstawą do napisania listu pożegnalnego?

Smiley zawahał się, zanim odpowiedział. Widział, że to nadchodzi.

—Tak. Ze słów pani Fennan wynikało, że jej mąż był bardzo zdenerwowany po przesłuchaniu. - Niech już wysłucha całej historii. - Dręczyło go to, nie mógł zasnąć. Musiała mu dać środek uspokajający. Jej sprawozdanie z reakcji Fennana na moje przesłuchanie całkowicie potwierdzało treść listu. - Milczał przez jakąś minutę, mrugając oczami. - Próbuję właśnie powiedzieć, że jej nie wierzę. Nie wierzę, że Fennan napisał ten list, ani w to, że miał zamiar się zabić. - Spojrzał na Mastona. - To po prostu nie trzyma się kupy. Jeszcze jedno - dodał. - Nie widziałem ekspertyzy, ale istnieje podobieństwo pomiędzy anonimem a listem pożegnalnym Fennana. Krój czcionki jest identyczny. Wiem, że to śmiesznie brzmi, ale tak jest. Musimy włączyć w to policję - zapoznać ich z faktami.— Z faktami? — zapytał Maston. - Z jakimi faktami? Załóżmy, że ona rzeczywiście kłamie - podobno to dziwna kobieta, cudzoziemka, Żydówka. Bóg raczy wiedzieć, co ma w głowie. Powiedziano mi, że wiele wycierpiała podczas wojny, prześladowano ją i tak dalej. Mogła widzieć w tobie oprawcę, inkwizytora. Zauważyła, że do czegoś zmierzasz, wpadła w panikę i poczęstowała cię pierwszym kłamstwem, jakie przyszło jej do głowy. Czy to czyni z niej morderczynię?

—To po co Fennan zamawiał budzenie? Dlaczego zrobił sobie kakao?

— Kto wie? — Głos Mastona był teraz pewniejszy, bardziej przekonujący. - Jeśli ja albo ty, Smiley, znaleźlibyśmy się w tym przerażającym stanie, że postanowilibyśmy zniszczyć siebie, kto wie, jakie byłyby nasze ostatnie poczynania na tym świecie? A jeśli chodzi o Fennana: widział koniec swojej kariery, życie straciło dla niego sens. Nie jest wykluczone, że chciał usłyszeć ludzki głos, poczuć ciepło kontaktu z innym człowiekiem, zanim umrze. Śmieszne to, może sentymentalne, ale nie niemożliwe dla kogoś tak udęconego, że odbiera sobie życie.

Smiley musiał przyznać, że to było dobre przedstawienie, a on nie stanowił równorzędnego partnera dla Mastona. Nagle poczuł, że wzbiera w nim złość. Jakże nienawidził tego pretensjonalnego pochlebcy, tego obscenicznego niewieściucha z jego siwiejącymi włosami i rozsądnym uśmiechem. Furia narastała, zalewała mu pierś, dusiła całe ciało. Twarz mu poczerwieniała, okulary zasłzyły mgłą, w oczach pojawiły się łzy, dopełniając upokorzenia.

Maston kontynuował, łaskawie tego nie zauważając:

—Nie możesz się spodziewać, że na tej podstawie zasugeruję ministrowi spraw wewnętrznych, iż policja doszła do fałszywych wniosków. Wiesz, jak delikatne są nasze stosunki z policją. Z jednej strony, mamy twoje podejrzenia: krótko mówiąc, zachowanie Fennana ostatniego wieczoru nie wskazywało na zamiar samobójczy, a jego żona, oczywiście, kłamała. Przeciwno temu mamy opinię wyszkolonych detektywów, którzy nie znaleźli niczego niepokojącego w okolicznościach śmierci, no i zeznanie pani Fennan, że mąż był przygnębiony przesłuchaniem. Przykro mi, Smiley, ale tak właśnie jest.

Zapadła cisza. Smiley powoli odzyskiwał panowanie nad sobą ale wciąż był oziębiały i nie potrafił się wysłowić. Nerwowo mrugał oczami, pobrużdżoną twarz miał zaróżowioną a usta głupekowato półotwarte. Maston czekał, aż coś powie, ale Smiley był zmęczony i nagle stracił zainteresowanie czymkolwiek. Nie patrząc na Mastona, wstał i wyszedł.

Dotarł do swojego pokoju i usiadł przy biurku. Machinalnie przejrzał papiery. W pojemniku na pocztę było kilka wewnętrznych pism obiegowych i osobisty list adresowany do Wielmożnego Pana G.

Smileya w Ministerstwie Obrony. Charakter pisma był mu nieznany; otworzył kopertę i przeczytał list.

Szanowny Panie Smiley!

Muszę zjeść z Panem lunch jutro w Compleat Angler w Marlow. Proszę, żeby spotkał się Pan ze mną o pierwszej. Mam Panu coś do powiedzenia.

Szczerze oddany Samuel Fennan

List był pisany ręcznie i datowany na poprzedni dzień, wtorek trzeciego stycznia. Ostemplowano go w Whitehall o szóstej po południu.

Smiley wpatrywał się w list przez kilka minut, potem odłożył go na biurko, otworzył szufladę i wyjął z niej kartkę czystego papieru. Napisał krótki list z rezygnacją do Mastona i przypiął do niego szpilką zaproszenie od Fennana. Nacisnął dzwonek do sekretarki, włożył list do pojemnika na korespondencję wychodzącą i poszedł do windy. Jak zwykle utknęła w piwnicy z wózkiem na herbatę dla archiwum; po krótkim oczekiwaniu zaczął schodzić po schodach. W połowie drogi przypomniał sobie, że zostawił w pokoju płaszcz przeciwdeszczowy i parę drobiazgów. Pomyślał, że to nie szkodzi, przyślą mu je. Usiadł w samochodzie na parkingu i patrzył przez zalaną deszczem przednią szybę.

Było mu wszystko jedno, po prostu wszystko jedno. Był zaskoczony, że o mały włos nie stracił nad sobą kontroli. Rozmowy odgrywały ważną rolę w życiu Smileya i zawsze sądził, że jest odporny na wszystkie ich rodzaje: dyscyplinarne, naukowe, medyczne i religijne. Jego skryta natura nienawidziła celu wszystkich tych rozmów, ich przytłaczającej intymności, nieuniknionej realności. Przypomniał sobie pewien cudowny obiad z Ann w Quaglino, kiedy opisywał jej metodę kameleona-pancemika pozwalającą pokonać impertynenckich rozmówców. Jedli obiad przy świecach, pili brandy, Ann patrzyła na niego z miłością i pożądaniem. Jej twarz była tak blisko jego twarzy, gdy mówił:

Najpierw staję się kameleonem.

Czyli zamieniasz się we wstrętą jaszczurkę?

—Nie, tu chodzi o kolory. Kameleony potrafią zmieniać kolor.

I to właśnie robisz?

— Tak, staję się taki, jak mój rozmówca.

I co ci to daje?

— Ta metoda opiera się na założeniu, że rozmówca, który najbardziej kocha siebie samego, zainteresuje się własnym obrazem w twoich oczach. Możesz poznać jego koloryt socjalny, polityczny, intelektualny i jego temperament.

Pompatyczna jaszczurka. Ale inteligentny kochanek.

Czasem ta metoda zawodzi wobec idiotyzmu albo niechęci rozmówcy. Jeśli tak, staję się pancernikiem. Wkładasz zbroję?

Nie, stawiam go na tak absurdalnej pozycji, że zyskuję nad nim przewagę. Do confirmacji przygotowywał mnie emerytowany biskup. Stanowiłem całą jego trzódkę i otrzymałem tyle nauk, że wystarczyłyby, żeby obdzielić całą diecezję. Ale kontemplując twarz biskupa, wyobrażając sobie, że pod moim wzrokiem obrasta ona gęstym futrem, zachowałem panowanie nad sytuacją. Od tamtego czasu rozwinąłem umiejętność. Każdego byłem w stanie zmienić w małpę, wysłać na golasa na bankiet wolnomularski, zmienić w węża, żeby pęłzał na brzuchu...

- Paskudna, kochana jaszczurka.

Tak to było. Ale podczas ostatniej rozmowy z Mastonem zdolność do przyjmowania pozycji obserwatora opuściła Smileya; za bardzo się angażował. Kiedy Maston wykonał pierwsze ruchy, Smiley był zbyt zmęczony i zde gustowany, żeby podjąć wyzwanie. Maston dopuszczał, że to Elsa Fennan zabiła swojego męża, ale wcale go to nie interesowało. Podejrzenia, doświadczenie, spostrzeżenia, zdrowy rozsądek - dla Mastona to nie były narzędzia prowadzące do ustalenia faktów.

Papier - to był fakt,

ministrowie - to był fakt,

wiceministrowie spraw wewnętrznych -to był niezbitý fakt.

Departament nie interesuje się niejasnymi wrażeniami jakiegoś jednego urzędnika, jeśli koliduje to z polityką. Smiley był zmęczony, bardzo zmęczony. Jechał powoli do domu. Dziś zje kolację na mieście. Coś specjalnego. Ale była dopiero pora obiadowa, spędzi więc popołudnie, idąc tropem Oleariusa podczas jego hanzeatyckich wypraw. Potem kolacja w Quaglino i samotny toast na cześć zwycięskiego mordercy, może właśnie na cześć Elsy, z wdzięczności za zakończenie kariery George'a Smileya wraz z życiem Sama Fennana.

Nie zapomniał zabrać prania z Sloane Street, wreszcie skręcił na By water Street i znalazł miejsce do zaparkowania o jakieś trzy domy od własnego. Wszedł, dźwigając brązową papierową paczkę z pralni. Dokładnie zamknął samochód i z przyzwyczajenia obszedł go, sprawdzając klamki. Przez cały czas siąpił drobny deszczyk. Zdenerwowało go, że ktoś znów zaparkował przed jego domem. Bogu dzięki, pani Chapel zamknęła okno od sypialni, inaczej deszcz by...

Nagle stał się czujny. Coś poruszyło się w salonie. Jakieś światło, jakiś cień, sylwetka człowieka, coś - był tego pewien. Czy to był wzrok, czy tylko instynkt? Nie wiedział. Ale jakaś podskórna zdolność percepcji ostrzegła go, a on przyjął ostrzeżenie.

Bez chwili zastanowienia wrzucił klucze z powrotem do kieszeni płaszcza, podszedł po schodkach do swoich drzwi i nacisnął dzwonek.

Piskliwy dźwięk rozszedł się po domu. Przez chwilę panowała cisza, a potem do uszu Smileya dotarł odległy dźwięk kroków zbliżających się do drzwi. Zgrzyt łańcucha, pstryknięcie zatrasku i drzwi się otworzyły - szybko i gładko.

Smiley nigdy go nie widział. Wysoki, przystojny blondyn, mniej więcej trzydziestopięcioletni. Jasnoszary garnitur, biała koszula i srebrny krawat. Niemiec albo Szwed. Lewą rękę trzymał nonszalancko w kieszeni marynarki.

Smiley popatrzył na niego przepaszająco.

—Dobry wieczór. Czy zastałem pana Smileya?

Drzwi otworzyły się szerzej.

—Tak. Wejdzie pan? ;

Wahał się przez ułamek sekundy.

—Nie, dziękuję. Czy zechciałby pan mu to oddać? - wręczył mężczyźnie paczkę z praniem, zszedł ze schodów i wszedł do samochodu. Wiedział, że nadal jest obserwowany. Zapalił silnik, skręcił i wjechał na Sloane Square, nie spoglądając ani razu w stronę swojego domu. Na Sloane Street znalazł wolne miejsce, zatrzymał się i błyskawicznie zapisał w notatniku siedem zestawów cyfr. Były to numery siedmiu samochodów zaparkowanych przy Bywater Street.

Co powinien zrobić? Zatrzymać policjanta? Kimkolwiek był ten mężczyzna, do tej pory już zdążył się ulotnić. Smiley zamknął samochód i przeszedł przez ulicę do budki telefonicznej. Zadzwoił do Scotland Yardu, połączył się z wydziałem specjalnym i poprosił inspektora Mendla. Okazało się jednak, że inspektor pojechał do domu. Smiley, po długim lawirowaniu, uzyskał jego adres. Ponownie zapuścił silnik, objechał trzy strony placu i wydostał się na most Alberta. Zjadł kanapkę i wypił dużą whisky w nowym pubie z widokiem na rzekę, a kwadrans potem jechał przez most w stronę Mitcham. Deszcz ciągle padał na jego niepozorny samochód. Smiley był zaniepokojony, naprawdę bardzo zaniepokojony.

Herbatka i współczucie

Gdy dotarł na miejsce, nadal padało. Mendel był w ogrodzie i miał na głowie najniezwyklejszy kapelusz, jaki Smiley kiedykolwiek widział. Rozpoczął swój żywot jako australijski kapelusz wojskowy, ale jego wielkie rondo obwisało ze wszystkich stron i teraz przypominał wielki grzyb. Mendel stał nad jakimś pniakiem ze złowrogo wyglądającym oskardem w żylastej prawej ręce. Przez chwilę patrzył ostro na Smileya, potem na jego szczupłej twarzy pojawił się uśmiech. Odłożył oskard i wyciągnął dłoń na powitanie.

—Kłopoty-powiedział.

—Kłopoty - powtórzył Smiley.

Poszedł za Mendlem ścieżką w stronę domu. Podmiejskiego i wygodnego.

—W salonie w kominku się nie pali, dopiero co wróciłem. Może napijmy się herbaty w kuchni? Weszli do kuchni. Panował w niej idealny wręcz porządek. Kiedy Mendel przygotowywał herbatę, Smiley beznamiętnie zrelacjonował mu, co zdarzyło się na Bywater Street. Gdy skończył, Mendel popatrzył na niego i zapytał:

—Ale dlaczego zaprosił cię do środka?

Smiley zaczerwienił się lekko.

—Nie mam pojęcia. Na szczęście miałem tę paczkę. - Napił się herbaty. - Chociaż nie wierzę, żeby dał się nabrać na paczkę. Może i tak, ale wątpię. Bardzo wątpię.

— Że się nabrał?

— Cóż, ja bym się nie nabrał. Facet w fordzie dostarczający paczki z bielizną. Kim mogłem być? Poza tym, pytałem o Smileya, a potem nie chciałem się z nim zobaczyć. Musiał pomyśleć, że to bardzo dziwne.

— Ale o co mu chodziło? Co by z tobą zrobił? Za kogo cię uważał? — Myślę, że to na mnie czekał, ale nie spodziewał się, że zadzwonię do drzwi. To go wytrąciło z równowagi. Myślę, że chciał mnie zabić. Dlatego poprosił mnie do środka: rozpoznał mnie, ale nie był pewien. Prawdopodobnie widział fotografię.

Mendel patrzył na niego przez chwilę w milczeniu.

Chryste - mruknął.

Załóżmy, że mam rację -ciągnął Smiley. - Fennana zamordowano, a teraz próbowano zabić mnie. Cóż, w odróżnieniu od ciebie, ja na co dzień nie zajmuję się zabójstwami.

— znaczy?

— Nie wiem. Po prostu nie wiem. Może sprawdziłbyś numery tych samochodów. Stały dziś rano przy Bywater Street.

—Dlaczego sam tego nie zrobisz?

Smiley popatrzył na Mendla zaskoczony i uświadomił sobie, że nie powiedział mu o swojej rezygnacji.

— Nie mogę - odparł. - Dziś rano złożyłem rezygnację. Jestem teraz swobodny jak ptak.

Mendel wziął od niego listę z numerami i poszedł do holu do telefonu. Wrócił po paru minutach.

„ Oddzwonią za godzinę - powiedział. - Chodź, oprowadzę cię po włościach. Znasz się na pszczołach?

— Tylko trochę. W Oksfordzie zaraziłem się bakcylem historii naturalnej.

Chciał opowiedzieć Mendlowi, jak zmagał się z metamorfozami roślin i zwierząt Goethego w nadziei, że jak Faust odkryje, „na czym trzyma się świat i jego najskrytsze sprawy”. Chciał wyjaśnić, dlaczego nie sposób zrozumieć dziewiętnastowiecznej Europy bez znajomości nauk przyrodniczych. Czuł się

przepełniony ważnymi myślami, ale w skrytości ducha wiedział, iż to dlatego, że jego mózg zmagał się z wydarzeniami dnia i jest w stanie nerwowego podniecenia. Mendel wyprowadził go na dwór tylnymi drzwiami. Trzy zgrabne ule przycupnęły pod ceglana ścianą biegnącą wzdłuż tej części ogrodu. Stali w siąpiącym deszczu, a Mendel mówił:

—Zawsze chciałem hodować pszczoły, zobaczyć, jak to jest. Przeczytałem wszystko na ten temat i wystraszyłem się jak cholera. Małe sprytnie cwaniaczki. - Kilka razy kiwnął głową, jakby chciał podkreślić znaczenie tych słów. Smiley spojrzał na niego z zainteresowaniem. Miał pociągłą twarz stalowoszare włosy nosił krótko przycięte. Zdawał się całkowicie obojętny na pogodę, a pogoda była obojętna na niego. Smiley znał wielu policjantów na całym świecie. Znał też ich problemy. Wszyscy mieli w sobie ogromne zasoby cierpliwości, goryczy i gniewu. Doświadczali długich, bezowocnych godzin obserwacji w każdą pogodę, czekania na kogoś, kto nie przyjdzie... albo przyjdzie i odejdzie za szybko. I byli na łasce swoich szefów - kapryśnych i despotycznych, nerwowych i zmiennych, czasem mądrych i współczujących. Widział, jak inteligentni ludzie bywają łamani przez głupotę ich szefów, jak tygodnie pracy w dzień i w nocy mogą pójść na marne.

Mendel poprowadził go do uli ścieżką wykładaną tłuczniem i - nadal niepomny na deszcz - zaczął rozbierać jeden z nich na części, demonstrując i objaśniając. Mówił z długimi przerwami między zdaniami, demonstrował wszystko dokładnie.

Wreszcie weszli do domu i Mendel pokazał Smileyowi dwa pokoje na dole. Salon był cały w kwiatach: kwieciste zasłony i dywan, kwieciste pokrowce na meblach. W małej gablotce w kącie stało kilka kufli w kształcie ludzików w trójgraniastych kapeluszach i para eleganckich pistoletów obok pucharu za strzelanie do celu.

Weszli na górę. Czuć tam było parafiną od pieca na półpiętrze, a z bojlera w łazience dobiegało ostre bulgotanie. Mendel pokazał swoją sypialnię. Królowało w niej wielkie małżeńskie łoże.

—Kupiłem je na wyprzedaży za funciaka - objaśniał Mendel. - Ma specjalne materace na sprężynach. Czego to ludzie nie wymyślą, żeby zapewnić sobie odrobinę luksusu. Dywany należały do królowej Elżbiety. Zmieniają je co rok. Kupiłem je w sklepie w Watford.

Smiley stał w drzwiach, trochę zażenowany. Mendel przeszedł obok niego, żeby otworzyć drzwi do drugiej sypialni.

—A to twój pokój. Jeśli chcesz. - Spojrzał na Smileya. - Nie zostawałbym na noc w domu, gdybym był na twoim miejscu. Nigdy nie wiadomo, prawda? Poza tym, tutaj będziesz lepiej spał, Powietrze jest czystsze.

Smiley zaczął protestować.

Zrobisz, co zechcesz. Twój wybór - rzekł Mendel sucho. - Prawdę powiedziawszy, nie bardzo się orientuję w tym, co robisz. Wiem tylko, że znasz się na policyjnej robocie. Postąpisz, jak zechcesz. Jestem pewien, że potrafisz zadbać o własne sprawy.

Znów zeszli na dół. Mendel zapalił gazowy kominek w salonie. flj&- No cóż, pozwól, że zaproszę cię wieczorem na kolację - powiedział Smiley.

W holu zadzwonił telefon. To była sekretarka Mendla w sprawie numerów samochodów.

Zakończywszy rozmowę, Mendel wrócił do salonu i wręczył Smileyowi listę siedmiu nazwisk i adresów. Cztery można było odrzucić; to były adresy z Bywater Street. Pozostawały trzy: samochód wynajęty | firmy Adam Scarr i Synowie w Battersea, ciężarówka należąca do Severn Tile Company z Eastbourne i samochód zarejestrowany jako własność ambasadora Panamy.

—Mam znajomego, który zajmuje się sprawami panamskimi - powiedział Mendel. Nie powinno być trudności, ambasada dysponuje tylko trzema samochodami.

—Battersea jest niedaleko - dodał po chwili. - Możemy wyskoczyć tam razem. Twoim wozem.

—Jasne - zgodził się Smiley - a na kolację możemy się wybrać do Kensington. Zarezerwuję stolik w Enterchat.

Była czwarta. Posiedzieli jeszcze chwilę, gawędząc o hodowli pszczoł i prowadzeniu domu. Mendel był rozluźniony i swobodny, a Smiley starał się tak kierować rozmowę, by nie okazać mu poczucia wyższości. Domyślał się, co o Mendlu powiedziałyby Ann. „Kochanie, kto by się spodziewał, że on może być taki miły! Ostatni mężczyzna, o którym bym pomyślała, że mi powie, gdzie można tanio kupić ryby.

Jaki śliczny ma domek. Spokojnie, on na pewno wie, że te kufle w kształcie ludzików to okropieństwo, tylko się tym nie przejmuję. Myślę, że to będzie nasz pupilek. Zaproś go na kolację. Musisz. Nie podśmiewaj się z niego, tylko go zaprosz”. Nie zaprosiłby go, oczywiście, ale Ann i tak byłaby zadowolona - z tego, że znalazła sposób, by go polubić. A gdyby już to zrobiła, natychmiast zapomniałaby o nim. Tego właśnie Smiley pragnął - znaleźć sposób, żeby polubić Mendla. Nie szło mu to tak łatwo, jak poszłoby Ann. Ale Ann to Ann - raz prawie zabiła jakiegoś kuzyna z Eton za to, że pił klaret do ryby, lecz gdyby Mendel zapalił fajkę nad jej crêpe Suzette, prawdopodobnie nie zauważyłaby tego. Kwadrans po piątej wyruszyli do Battersea samochodem Smileya. Po drodze Mendel kupił popołudniową gazetę. Czytał, z trudnością chwytając światło ulicznych latarni. Po kilku minutach; powiedział z nagłym gniewem:

—Szwaby. Cholerne Szwaby. Boże, jak ja ich nienawidzę!

—Szwaby?

—Szwaby. Hunowie. Szkopy. Cholerni Niemcy. Nie dałbym sześć-pensówki za worek z ich truchłem. Mięsożerne rude kanalie* Znowu poniewierają Żydami. Dołóż im i podnieś ich. Przebaczone im »zapomnij. A dlaczego, do cholery? Czy trzeba puścić w niepamięć kradzieże i twardostwa i gwałty tylko dlatego, że popełniały je miliony? Chryste, gdy jakiś biedny gnojek z banku podwędzi dziesięć kafli, cała komenda miejska huzia na niego! Ale Krupp i cała ta banda - nie. Chryste, gdybym był Żydem w Niemczech, to bym...

Smiley nagle się ocknął.

—To co byś zrobił? Co byś zrobił, Mendel?

—Och, pewnie nic bym nie zrobił. Teraz to tylko polityka. Nie ma sensu dawać im bomby wodorowej, więc to polityka. No, ale są jankesi-miliony ryżych Żydów w Ameryce. I co robią? Dają cholernym Szwabom jeszcze więcej bomb. Już się skumpłowali - wysadzą się nawzajem w powietrze. Mendel aż trząsał się z wściekłości. Smiley milczał, myśląc o Elsie Fennan.

—A jakie jest wyjście? - zapytał wreszcie.

—Bóg jeden wie - odparł Mendel krótko. Skręcili w Battersea Bridge Road i zaparkowali obok posterunkowego stojącego na chodniku. Mendel pokazał mu swoją legitymację policyjną.

—Garaż Scarra? Sir, to właściwie nie jest garaż, po prostu podwórko - wyjaśnił posterunkowy. - Handluje złomem i używanymi samochodami. Jak nie przyjdą po jedno, to przyjdą po drugie, tak mówi Adam. Musi pan jechać Prince of Wales Drive, aż dojedzie pan do szpitala. Jest wciśnięte między dwa domy z prefabrykatów. To był lej po bombie. Stary Adam wyrównał go popiołem i nikt go już stamtąd nie ruszył.

—Zdaje się, że sporo o nim wiesz - powiedział Mendel.

—No pewnie, musiałem zajrzeć do niego parę razy. Niewiele jest przepisów, których Adam by nie naruszył. To jeden z naszych stałych i klientów, ten Scarr.

—Proszę, proszę. A teraz macie coś na niego?

Nie mogę powiedzieć, sir. Ale można go w każdej chwili przy-skrzynić za n*e^e8a^ne zakłady. No i jest teraz na warunkach.

Pojechali w stronę szpitala. Parking po ich prawej stronie wyglądał H świetle lamp ulicznych ciemno i ponuro.

Bpi-Co to znaczy na warunku? - zapytał Smiley.

To znaczy, że masz taki długi rejestr kar, że można cię przewencyjnie zatrzymać - wyjaśnił Mendel. Znaleźli podwórko między dwoma walącymi się budynkami z prefabrykatów stojącymi w nierównym szeregu domów wzniesionych na obrzeżach leja. Wszędzie walały się śmiecie i odpadki. Kawałki azbestu, drewna i złomu, prawdopodobnie ściągniętego przez pana Scarra na sprzedaż albo na własny użytek, zgromadzone były w kącie. Oświetlało je mdłe światło dochodzące z odleglejszego domu z prefabrykatów. Przez chwilę obaj rozglądali się w milczeniu. Potem Mendel wzruszył ramionami, włożył dwa palce do ust i zagwizdał.

—Scarr! - krzyknął.

Cisza. Zapaliło się zewnętrzne światło na domu z prefabrykatów, przed którym stało kilka przedwojennych samochodów w różnym stanie technicznego rozkładu. Powoli otworzyły się drzwi i na progu stanęła mniej więcej dwunastoletnia dziewczynka.

—Tatusz jest w domu, kochanie? -zapytał Mendel.

—Nie. Pewnie poszedł do Prod.

I dobrze, kochanie. Dziękuję.

Wrócili na ulicę.

—Co to, u diabła, jest Prod? - spytał Smiley.

—Prodigal's Calf. Pub za rogami. Możemy tam pójść na piechotę - to tylko jakieś sto metrów. Zostaw tu samochód.

Było tuż po otwarciu, więc lokal był pusty. Kiedy czekali, aż przyjdzie właściciel, drzwi otworzyły się na oścież i do pubu wkroczył bardzo tęgi mężczyzna w czarnym garniturze. Podeszedł prosto do baru i zaczął walić w ladę półkoronówką.

—Wilf! — krzyknął. - Masz klientów, ty szczęściarzu. - Odwrócił się do Smileya. - Dobry wieczór, przyjacielu. Z zaplecza odpowiedział jakiś głos:

—Powiedz im, żeby zostawili pieniądze na ladzie i wrócili później. Grubas przez chwilę patrzył obojętnie na Mendla i Smileya, potem nagle wybuchnął śmiechem.

—Nie z nimi te numery, Wilf-to faceci! — Ten dowcip tak mu się spodobał, że aż przysiadł na ławie stojącej przy ścianie. Ręce oparł na kolanach, potężne bary podskakiwały mu od śmiechu, a po policzkach spływały łzy. Co jakiś czas, gdy łapał oddech przed następnym wybuchem, powtarzał: - O rany, o rany!Smiley patrzył na niego z zainteresowaniem. Grubas nosił brudny, sztywny kołnierzyk z zaokrąglonymi rogami, kwiecisty czerwony krawat starannie przypięty na wierzchu czarnej kamizelki, wojskowe buty i lśniący czarny garnitur, bardzo przetarty i bez śladu kantu na spodniach. Mankiety koszuli miał czarne od potu, brudu i oleju silnikowego. Trzymały się na papierowych skręconych w węzełek spinkach.Pojawił się właściciel i przyjął zamówienie. Grubas wziął dużą whisky i wino imbirowe i przeniósł się do sali, w której był kominiek na węgiel. Właściciel patrzył na niego z dezaprobatą.

—To cały on, nędzny gnojek. Nie chce płacić ceny jak na sali, ale lubi ciepło.

—Kto to jest? - zapytał Mendel.

—On? Nazywa się Scarr. Adam Scarr. Bóg wie, dlaczego Adam. Wyobraź go pan sobie w rajskim ogrodzie: cholerna groteska, nic innego. Mówią tutaj, że gdyby Ewa dała mu jabłko, to zjadłby je z ogonkiem. - Wciągnął powietrze między zębami i potrząsnął głową. Potem krzyknął za Scarrem: - Ale w interesach jesteś niezły, co, Adam?! Przeszli kilometry, żeby cię zobaczyć, no nie? Takiego potwora z kosmosu, którym jesteś. Przybywajcie i podziwiajcie. Adam Scarr: raz rzucicie okiem i podpiszecie petycję.

Znów radosny śmiech. Mendel nachylił się do Smileya.

—Wyjdź i poczekaj w samochodzie. Lepiej się w to nie mieszaj. Masz piątaka? Smiley dał mu pięć funtów z portfela, skinął głową na znak zgody i wyszedł. Nie był w stanie wyobrazić sobie czegoś bardziej przerażającego niż dogadywanie się ze Scarrem.

—Ty jesteś Scarr? - zapytał Mendel.

—Zgadłeś, przyjacielu.

—TRX 0891. To twój wóz?

Scarr zmarszczył się, jakby to pytanie go zmartwiło.

—Jest twój? - dopytywał się Mendel,

Był, szefie, był.

Co to znaczy, do cholery?

Scarr uniósł na kilka centymetrów prawą rękę i pozwolił jej łagodnie opaść.

Mętne wody, szefie, mroczne wody.

Słuchaj. Mam na widoku coś większego, niż możesz sobie wyobrazić. Nic mnie nie obchodzą twoje kanty. Gdzie jest samochód? Scarr udawał, że zastanawia się nad odpowiedzią.

Widzę światelko, przyjacielu. Szukasz informacji. - Jasne, że tak, do cholery. Nastaly ciężkie czasy, szefie. Koszty utrzymania, drogi chłopcze, są jak wznosząca się gwiazda. Informacja to towar, towar na sprzedaż, prawda?

Powiesz mi, kto wynajął samochód, i nie będziesz głodować, i Ja i teraz nie głoduję, przyjacielu. Chcę lepiej jeść.

—Piątak.

Scarr dokończył drinka i odstawił szklankę na blat. Mendel wstał i kupił mu następną whisky.

Zwędzono mi go - powiedział Scarr. - Widzisz, przez parę lat miałem go na jazdy własne. Na depo.

Na co?

—Na depo-depozyt. Facet chce samochód na dzień. Bierzesz dwadzieścia funciaków w banknotach do depozytu, jasne? Kiedy wraca, jest ci winien czterdzieści szylingów, rozumiesz? Dajesz mu czek na trzydzieści osiem funciaków, wykazujesz w księgach stratę i zabawa warta jest dziesiątaka. Chwytasz? Mendel pokiwał głową.

—No i tydzień temu przyszedł jakiś facet. Wysoki Szkot. Zamożny. Z laską. Zapłacił depo, zabrał samochód i więcej nie widziałem ani jego, ani samochodu. Kradzież.

—Dlaczego nie zawiadomiłeś policji.

Scarr napił się whisky i popatrzył smutno na Mendla.

—Wiele czynników przemawia przeciwko temu.

—Masz na myśli, że sam go zwędziłeś?

Scarr wyglądał na oburzonego tą sugestią.

—Przypadkiem usłyszałem przykre pogłoski o kontrahencie, od którego uzyskałem pojazd. Nie powiem nic więcej - dodał szybko.

—Kiedy wynajmowałeś mu ten samochód, wypełnił formularze. Ubezpieczenie, pokwitowanie i tak dalej. Gdzie one są?

—Fałszywe, wszystko fałszywe. Podał mi adres w Ealing. Poszedłem tam, a tam nic nie było. Nie wątpię, że nazwisko też było zmyślone. Mendel zwinął banknoty w kieszeni i wręczył je nad stołem Scarrowi. Scarr rozwinął banknoty i policzył na oczach wszystkich, którzy mieliby ochotę popatrzeć.

—Wiem, gdzie cię znaleźć - powiedział Mendel - i wiem parę rzeczy o tobie. Jeśli sprzedałeś mi stek bredni, złamię ci ten cholerny kark. Znów padało i Smiley żałował, że nie wziął kapelusza. Przeszedł przez ulicę, minął zaułek, w którym mieściło się przedsiębiorstwo Scarra, i skierował się do samochodu. Na ulicy nikogo nie było, panowała dziwna cisza. Dwieście metrów dalej stał

szpital Battersea, mały i schludny. Z niezasłoniętych okien padały na mokry chodnik smugi światła.

Smiley minął pierwszy z domów graniczących z podwórkiem Scarra. Na podwórzu stał stary sedan MG z włączonymi światłami postojowymi. Tablica rejestracyjna była słabo oświetlona i zachłapana błotem. Nachylił się, żeby ją odczytać. Wodził palcem po literach i cyfrach: TRX 0891. Oczywiście - to jeden z numerów, które zapisał dzisiejszego ranka. Usłyszał za sobą kroki. Wyprostował się, odwrócił i już zaczął unosić ramię, gdy dosięgnął go cios. To był bardzo silny cios - zdawało mu się, że rozłupał mu czaszkę na pół. Kiedy upadł, poczuł krew spływającą po prawym uchu.

Chryste, już więcej nie, już więcej nie, pomyślał. Ale kolejnych uderzeń już prawie nie czuł - była tylko wizja własnego ciała, odległego, kruszonego powoli jak skała; potrzaskanego i rozłupanego na kawałki. A potem tylko gorąco własnej krwi spływającej po twarzy w popioły i odgłos uderzeń młotów kamieniarskich. Ale nie tu, tylko w oddali.

Historia pana Scarra

Mendel patrzył na Smileya i zastanawiał się, czy jeszcze żyje. Przykrył go delikatnie swoim płaszczem, a potem ruszył biegiem w stronę szpitala. Wpadł przez wahadłowe drzwi izby przyjęć do jaskrawo oświetlonego wnętrza. Na dyżurze był młody ciemnoskóry lekarz. Mendel pokazał mu legitymację, krzyknął coś do niego i usiłował pociągnąć za sobą na ulicę. Lekarz uśmiechnął się, potrząsnął głową i zadzwonił po karetkę.

Mendel pobiegł z powrotem ulicą i czekał. Karetka nadjechała kilka minut później. Sanitariusze położyli Smileya na nosze i zabrali ze sobą. Pochowajcie go, pomyślał Mendel. Odpłacę się temu sukinsynowi.

Stał jeszcze przez chwilę, przyglądając się wilgotnej plamie błota i popiołów, na którą upadł Smiley; w czerwonych tylnych światłach samochodu niczego nie zauważył. Ziemia była zdeptana przez obsługę ambulansu i kilku mieszkańców, którzy pojawili się i zniknęli jak sępy. Nie lubili kłopotów.

Sukinsyn - wysyczał Mendel i poszedł powoli w stronę pubu. Lokal wypełniał się gośćmi. Scarr właśnie zamawiał kolejnego drinka. Mendel wziął go za ramię. Scarr odwrócił się i powiedział:

—Hej, przyjacielu, ty znowu tutaj. Napij się trochę tego, co zabiło ciotunię.

—Zamknij się - warknął Mendel. - Muszę z tobą pogadać. Wychodzimy.

Scarr potrząsnął głową i cmoknął ze współczuciem.

— Nie da rady, przyjacielu, nie da rady. Towarzystwo. — Wskazał ruchem głowy osiemnastoletnią blondynkę z nieprawdopodobnym biustem siedzącą bez ruchu przy stoliku w rogu. Jej wymalowane oczy miały taki wyraz, jakby była czymś wystraszona.

— Słuchaj - wycedził Mendel — za sekundę oberwę ci uszy, ty załgany gnojku.

Scarr zostawił drinka pod opieką właściciela i powoli ruszył do wyjścia. Nie spojrzał na dziewczynę.

Mendel poprowadził go przez uliczkę w stronę domów z prefabrykatów. Światła postojowe samochodu Smileya świeciły z odległości osiemdziesięciu metrów od nich. Skręcili na podwórko. MG nadal tam stał. Mendel trzymał Scarra mocno za ramię, gotów mu wykręcić albo nawet złamać rękę, gdyby było to konieczne.

—Proszę, proszę - zawołał Scarr na widok samochodu - wrócił na łono rodziny!

—Ukradli go, co? - powiedział Mendel. - Ukradł go wysoki Szkot z laską i adresem w Ealing.

Ładnie z jego strony, że przyprowadził go z powrotem, prawda? Miły gest jak na dzisiejsze czasy, co? Popełniłeś błąd, Scarr. - Mendel aż trząsnął się z gniewu. - Dlaczego światła postojowe są włączone? Otwórz drzwi.

Scarr odwrócił się w ciemnościach, wolną ręką klepiąc się po kieszeniach w poszukiwaniu kluczy.

Wyciągnął pęk z kilkoma kluczami i zaczął w nich gmerać, aż wreszcie otworzył drzwi samochodu.

Mendel wsiadł, znalazł światelko pod sufitem i zapalił je. Zaczął metodycznie przeszukiwać wnętrze wozu. Szukał szybko, ale dokładnie. Półka przy kierownicy, siedzenia, podłoga, półka pod tylną szybą: nic. Wsunął rękę do kieszeni na drzwiach od strony pasażera i wyciągnął mapę i kopertę. Koperta była długa i płaska, szaroniebieska z płóciennym wykończeniem. Kontynentalna, pomyślał Mendel. Nie było na niej napisu. Rozdarł ją. W środku było dziesięć używanych banknotów pięciofuntowych i kartka pocztowa. Mendel podniósł kartkę do światła i przeczytał słowa napisane długopisem wielkimi literami:

SKOŃCZONE. SPRZEDAJ WÓZ.

Nie było podpisu.

Wysiadł z samochodu. Scarr odsunął się o krok.

Masz jakiś problem, przyjacielu? - zapytał.

Nie ja mam problem, Scarr, to ty masz problem. - Mendel powiedział chłodnym tonem. -Największy problem, jaki kiedykolwiek miałeś - Współudział w zabójstwie, usiłowanie zabójstwa, złamanie ustawy o tajemnicy państwowej. Możesz dodać do tego naruszenie kodeksu rogowego , znowę w celu uszczuplenia dochodów skarbu państwa , piętnaście innych wykroczeń, które przyjdą mi do głowy, kiedy będziesz rozmyślał o swoim problemie na więziennej pryczy.

—Chwileczkę, gliniarzu, co to za gadka? Kto, do cholery, mówi o zabójstwie?

—Słuchaj, Scarr, jesteś gnojkiem, który zadał się z dużymi chłopcami-Myślę, że będzie cię to kosztowało piętnaście lat.

Zalewasz. Lepiej się zamknij.

Nie zamknę się, gnojku. Wlazłeś między wielkich, bo jesteś frajerem. A co ja zrobię? Ja będę się śmiał, aż mnie rozboli brzuch, kiedy ty będziesz gnął w Scrubs. Widzisz ten szpital? Tam umiera jeden facet. Zabił go ten twój wysoki Szkot. Pół godziny temu znaleźli faceta na twoim podwórku, krwawiącego jak Świnia. Jest jeszcze jeden trup w Surrey, a z tego, co wiem, może ich być więcej. Więc to ty masz problem, gnojku, nie ja. 1 jeszcze jedno - tylko ty wiesz, kim on jest, co? A on może będzie chciał po sobie posprzątać. Chwytasz?

Scarr powoli przeszedł na drugą stronę samochodu.

Mendel usiadł za kierownicą i otworzył od wewnątrz drzwi pasażera. Scarr usiadł obok niego. Nie zapalili światła.

. - Mam tu niezły interesik - powiedział cicho Scarr. - Nie można się zbytnio obłowić, ale forsa wpływa regularnie. Przynajmniej tak było, dopóki nie przyszedł ten gościu. j>- - Co za gościu?

—Po kolei, gliniarzu, nie popędzaj mnie. To było czteiy lata temu. Nie wierzyłem w Świętego Mikołaja, dopóki go nie spotkałem. Powiedział, że jest Holendrem i robi w diamentach. Nie twierdę, że mu uwierzyłem, rozumiesz. Nie jestem w ciemną bitą i ty też nie. Nie pytałem go, co robi, a on mi nie mówił, ale domyślałem się, że to przemyt. Miał za dużo pieniędzy, wydawał je całymi garściami. „Scarr - powiedział-jesteś człowiekiem interesu. Ja nie lubię rozgłosu, wiesz, jak to jest. A słyszałem, że jesteś z branży. Potrzebuję samochodu. Nie na stałe, tylko wypożyczyć”. Niedośłownie tak powiedział, ale taki był sens. „Co proponujesz - ja do niego. - Co z tego będę miał?” „Cóż - powiedział-jestem trochę nieśmiały. Chcę taki samochód, żeby nikt go nie namierzył, bo, powiedzmy, będę miał wypadek. Kup dla mnie jakiś ładny stary wóz, i żeby miał coś pod maską. Kup na swoje nazwisko i trzymaj go dla mnie. To pięćset funciaków na początek i dwadzieścia funciaków miesięcznie za garażowanie. A to premia za każdy dzień, kiedy będę jeździł. Ale rozumiesz, ja jestem nieśmiały, a ty mnie nie znasz. Za to jest ta forsa. Za to, że mnie nie znasz”. Pamiętam ten dzień. Lało jak z cebra, a ja męczyłem się nad starą taryfą, którą miałem od jednego gościa z Wandsworth. Byłem winien bukmacherowi czterdzieści funciaków, a gliniarze interesowali się samochodem, który kupiłem na kredyt i wcisnąłem komuś w Clapham. Scarr nabrał powietrza i wypuścił je, robiąc komiczną, pełną rezygnacji minę.

—I wtedy on przyszedł. Stał nade mną jak wyrzut sumienia i obsypywał mnie używanymi banknotami jak starymi kuponami totolotka.

—Jak wyglądał? - zapytał Mendel.

—Dość młody. Wysoki, przystojny facet. Nie widziałem go już potem. Przysyłał mi listy nadawane w Londynie, pisane na maszynie na zwykłym papierze. Tylko: „Bądź gotów na poniedziałek wieczór”, „Bądź gotów na czwartek wieczór” i tak dalej. Wszystko mieliśmy ustalone. Zostawiałem samochód na podwórku, zatankowany i wyregulowany. Nie mówił, kiedy wróci. Po prostu przyprowadzał go któregoś wieczoru, zostawiał zapalone światła i zamknięte drzwi. Do schowka na mapy wkładał po parę funciaków za każdy dzień, kiedy korzystał z wozu.

—A co się działo, gdy coś nie wypaliło, bo zwinęli cię za coś innego?

—Zostawił mi numer telefonu. Powiedział, żebym dzwonił i podawał imię.

—Jakie imię?

—Powiedział, żebym sobie jakieś wybrał. Wybrałem Blondie. Nie podobało mu się, ale tak już zostało. Primrose 0098.

—Skorzystałeś z tego kiedyś?

—Tak, parę lat temu miałem dziesięć dni do odkiblowania w Mar-gate. Pomyślałem, że dobrze byłoby go zawiadomić. Odebrała jakaś dziewczyna - też Holenderka, poznałem po akcencie. Powiedziała, że Blondie jest w Holandii i żeby jej zostawić wiadomość. Potem już z tego nie korzystałem.—Dlaczego?

— Bo zacząłem się orientować. Przyjeżdżał regularnie co dwa tygodnie, w pierwszy i trzeci wtorek, nie licząc stycznia i lutego. Zazwyczaj wracał samochód w czwartki. Dziwne, że pojawił się teraz. Może z nim koniec, co?

- Bywało, że długo nie wracał? Przez całe miesiące?Pojawiał się rzadziej. W styczniu w ogóle ani w lutym, jak powiedziałem.I Mendel podał Scarrowi banknot pięćdziesięciofuntowy.

—Nie myśl, że ci się upiekło - powiedział. - "Nie chciałbym się znaleźć w twojej skórze za dziesięć razy tyle. Jeszcze tu wrócę.

Scarr wyglądał na zaniepokojonego.

Nie będę bajerował - zapewnił - ale rozumiesz, nie chcę się w nic wplątywać. Chyba, że kraj by na tym ucierpiał, wiesz jak to jest, szefie?

Zamknij się - mruknął Mendel. Był zmęczony. Wsiadł z samochodu i poszedł w kierunku szpitala. W szpitalu dowiedział się, że Smiley nadal jest nieprzytomny. Zawiadomiono policję kryminalną. Mendel zostawił swój numer telefonu i uzyskał zapewnienie, że zadzwoniądo niego, gdyby stan pacjenta uległ zmianie. Po długiej dyskusji dostał od siostry kluczyki do samochodu Smileya. Wracając do domu, pomyślał, że Mitcham to podle miejsce na mieszkanie.

Przemyślenia w szpitalnej sali

Nienawidził łóżka jak tonący nienawidzi morza. Nienawidził prześcieradeł, które oplątały go tak, że nie mógł ruszyć ręką ani nogą. I nienawidził tego pokoju, bo go on przerażał. Przy drzwiach stał wózek, na którym leżały przybory medyczne; nożyce, bandaże i butelki, dziwne przedmioty niosące strach przed nieznanym, spowite w płótno do ostatniego namaszczenia. Stały tam niczym sępy gotowe rozpruć mu wnętrze, wysokie słoje przykryte częściowo serwetami, a w nich kłębiące się jak węże małe szklane naczynka z gumowymi rurkami. Nienawidził wszystkiego i bał się. Było mu gorąco i pocił się jak mysz, było mu zimno, a pot nadal spływał mu po zębach jak strumyki krwi. Po nocy następował dzień, ale Smiley tego nie rozpoznawał. Walczył ze snem, bo ilekroć zamykał oczy, zdawało mu się, że wywracają się do wewnątrz, aby patrzeć na chaos w jego mózgu. Kiedy od czasu do czasu powieki opadały pod własnym ciężarem zbierał wszystkie siły, by rozewrzeć je na powrót i dalej gapić się w blade światło migoczące gdzieś nad nim. Wreszcie nadszedł błogosławiony dzień, kiedy ktoś rozsunał zasłony i wpuścił szare dzienne światło. Usłyszał dźwięki z ulicy i wiedział przynajmniej tyle, że będzie żył.

Problem śmierci znów stał się kwestią akademicką - długiem, który udało się odroczyć do czasu, kiedy będzie go mógł spłacić na swój sposób. To było wspaniałe uczucie graniczące z błogością. Jego umysł znów był cudownie jasny. Skąd on to zna: „Umysł oddziela się od ciała, papierowym królestwem”? Męczyło go światło z góry, chciałby widzieć coś więcej. Nużyły go winogrona, zapach plastrów miodu, Latów, czekolady. Pragnął książek, czasopism literackich; jak może uVć na bieżąco z czytaniem, skoro mu ich nie dają? Jego okres był tak mało przebadany, tak niewiele było twórczej krytyki dotyczącej siedemnastego wieku. Mendlowi pozwolono odwiedzić Smileya dopiero po trzech tygodniach. Wszedł, trzymając w jednej ręce nowy kapelusz, a w drugiej książkę-Kapelusz położył w nogach łóżka, książkę na szafce stojącej obok. Uśmiechał się.

—Kupiłem ci książkę o pszczołach - powiedział. - Małe sprytne cwaniaczki. Może cię zainteresować.

Przysiadł na skraju łóżka.

—I sprawiłem sobie nowy kapelusz. Żeby uczcić przejście na emeryturę. A, tak, zapomniałem. Też poszedłeś w odstawkę.

Roześmieli się i umilkli na dłuższą chwilę.

—Obawiam się, że się nie popisałeś - Smiley przerwał ciszę. - Nie pozwalają mi nosić moich starych okularów. Robią dla mnie nowe. - Zmienił temat. - Może wiesz, kto na mnie napadł? plsi Może. Jestem na tropie. Problem w tym, że za mało wiem. Chodzi mi o twój zawód* Gzy Wschodnioniemiecka Misja ds. Stali mówi ci coś?

—Chyba tak. Przybyła tu cztery lata temu i próbuje dostać się do Rady ds. Handlu.

Mendel zrelacjonował swoje rozmowy ze Scarrem.

Powiedział, że to był Holender. Jedyne miejsce, w jakie się mógł z nim kontaktować, to numer z Primrose. Sprawdziłem abonenta. Zapisano go jako Wschodnioniemiecką Misję ds. Stali w Belsize Park. Wysłałem gościa, żeby trochę powęszył. Ulotnili się. Nic po nich nie zostało, ani jednego mebla, zupełnie nic. Tylko telefon ze sznurem wyrwanym z kontaktu.

—Kiedy wyjechali?

Trzeciego stycznia. Tego dnia zamordowano Fennana. - Popatrzył pytająco na Smileya.

Smiley zastanawiał się przez chwilę, wreszcie powiedział:

—Skontaktuj się z Peterem Guillemem w Ministerstwie Obrony i przyprowadź go tutaj jutro.
Mendel Wziął kapelusz i ruszył do drzwi.

—Do zobaczenia - powiedział Smiley. — Dziękuję za książkę.

—Do jutra - odparł Mendel i wyszedł.

Smiley rozparł się na łóżku. Bolała go głowa. Cholera, pomyślał nie podziękowałem mu za miód. Też był od Fortnumsa.

Skąd ten poranny telefon?-zastanawiał się. Pomyślał, że to niemądre, ale ze wszystkich zagadek tej sprawy ta niepokoila go najbardziej.

Wyjaśnienia Elsy Fennan były tak głupie, tak nieprawdopodobne. Anna owszem, kazałaby centrali stanąć na głowie, gdyby miała na to ochotę, ale nie Elsa Fennan. W jej inteligentnej twarzy, w jej poczuciu niezależności nie było nic, co wskazywałoby na roztargnienie. Mogła przecież powiedzieć, że w centrali się pomylili, zadzwonili w niewłaściwym dniu, cokolwiek. Fennan był roztargniony. Była to jedna z niespójności w jego charakterze, które wyłoniły się podczas śledztwa poprzedzającego przesłuchanie. Wielbiciel westernów, namiętny szachista, muzyk, a w wolnym czasie filozof, człowiek potrafiący logicznie myśleć-ale roztargniony. Kiedyś spowodował straszliwe zamieszanie, bo zabrał jakieś tajne dokumenty z ministerstwa. Jak się okazało, włożył je do swojej skrytki razem z „Timesem” i popołudniówką, zanim wyszedł z pracy.

Czy Elsa Fennan przypisała sobie roztargnienie, bo wiedziała, że to mąż zamówił budzenie, żeby sobie coś przypomnieć? A jeśli tak, to o czym trzeba mu było przypominać - co jego żona tak usilnie starała się ukryć?

Samuel Fennan.

Spotykały się w nim dwa światy - stary i nowy. Żyd z ortodoksyjnej rodziny, kulturalny, kosmopolityczny, pracowity i wnikliwy. Dziecko swojej epoki: prześladowany jak Elsa i wygnany z niemieckiej ojczyzny do uniwersytetu w Anglii. Ukończył studia i zdołał się dostać do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. To było nie lada osiągnięcie, a zawdzięczał je wyłącznie własnym zdolnościom. Był trochę zarozumiały i potrafił bronić własnego zdania, nawet jeśli kłóciło się z oficjalnym stanowiska ministerstwa, ale czy jest w tym coś złego? Sytuacja zrobiła się kłopotliwa, kiedy wypowiedział się za podziałem Niemiec, ale gdy wszystko ucichło, został przeniesiony do działu Azji i zapomniano o całej sprawie. Co do reszty, był człowiekiem wielkodusznym, cieszącym się popularnością zarówno w Whitehall, jak i w Surrey, gdzie w każdy weekend poświęcał kilka godzin na działalność dobroczynną. Jego miłością były narty. Co roku spędzał sześć tygodni urlopu w Szwajcarii albo w Austrii. Smiley zapamiętał, że Niemcy odwiedził tylko raz — razem z żoną jakieś pięć lat temu. Było naturalne, że w Oksfordzie Fennan przyłączył się do lewicy.

Miodowy miesiąc komunizmu uniwersyteckiego, a przyczyny tego stanu rzeczy leżały mu na sercu. Powstanie faszystów w Niemczech i we Włoszech, japoński najazd na Mandżurię, rebelia Franco | Hiszpanii, kryzys w Ameryce, a przede wszystkim fala antysemityzmu zalewająca Europę - było do przewidzenia, że Fennan poszuka ujścia dla swego gniewu i odrazy. Poza tym z partią komunistyczną wiązano wówczas wielkie nadzieje; porażka Partii Pracy i rządu koalicyjnego przekonała wielu intelektualistów, że tylko komunizm może stanowić efektywną alternatywę dla kapitalizmu i faszystów. A atmosfera konspiracji i koleżeństwa musiały przemawiać do Fennana i dawać mu pociechę w osamotnieniu. Mówiło się o wyjeździe do Hiszpanii i niektórzy naprawdę wyjechali - jak Cornford z Cambridge _ by nigdy nie wrócić. Smiley mógł sobie wyobrazić Fennana w tamtych dniach - inteligentny, poważny, doświadczony w prawdziwym cierpieniu, weteran pośród kadetów. Jego rodzice nie żyli. Ojciec był bankierem i przewidująco otworzył niewielki rachunek w Szwajcarii. Wystarczyło, żeby wysłać Samuela do Oksfordu i ochronić go przed niedostatkiem. Smiley doskonale zapamiętał przesłuchanie Fennana; jedno z wielu, a jednak inne. Inne ze względu na język. Fennan był tak elokwentny, tak bystry, tak pewny siebie.

—Ich największym dniem - powiedział - był dzień manifestacji górników z Rhonddy. Dla towarzyszy to musiało być, jakby duch wolności zszedł ze wzgórz. To był marsz głodowy. Towarzyszom chyba nie przyszło na myśl, że maszerujący mogli być naprawdę głodni, aleja to zauważyłem. Wynajęliśmy ciężarówkę i dziewczyny przygotowały gulasz - całe tony. Mięso kupiliśmy bardzo tanio od sympatyzującego z nami rzeźnika. Wyjechaliśmy im na spotkanie ciężarówką. Zjedli gulasz i poszli dalej. Właściwie wcale nas nie lubili, nie ufali nam. - Roześmiał się. - Byli tacy malutcy, to najlepiej zapamiętałem, mali i czarni jak elfy. Mieliśmy nadzieję, że zaśpiewają. I zaśpiewali. Ale nie dla nas, dla siebie. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem Walijszyków. Myślę, że to sprawiło, że lepiej zrozumiałem swoją rasę. Jestem Żydem, jak pan wie. Smiley skinął głową.

—Nie wiedzieli, co zrobić, kiedy Walijszczyki odeszli. Zrozumieli dlaczego partii nie zależy na inteligencji. I poczuli się zawstydzeni' Zawstydzeni swoimi pełnymi brzuchami i mądrymi esejami. Zawstydzeni swoim talentem i poczuciem humoru. Zawsze opowiadali, jak Keir Hardie uczył się stenografii, pisząc kredą na ścianie węgla. Wstydzili się, że mają ołówki i papier. Ale przecież nie można ich ot tak wyrzucić, prawda? Wreszcie to zrozumiałem. I dlatego wystąpiłem z partii.

Smiley chciał zapytać, jak Fennan się wtedy poczuł, ale on znów zaczął mówić. Powiedział, że wreszcie zrozumiał, iż nie ma w nimi nic wspólnego. Nie byli mężczyznami, lecz chłopcami, którzy marzyli

o wolności, cygańskiej muzyce i zjednoczonym świecie; dziećmi, którym brakło sił, by stawić opór światłu ze Wschodu, więc posłusznie odwróciły rozczochrane głowy w jego stronę. Kochali się i myśleli, że kochają ludzkość, walczyli ze sobą i myśleli, że walczą ze światem.

Uznał, że są wzruszająco komiczni. Mogli z równym skutkiem robić na drutach skarpety dla żołnierzy. Dysproporcja między snem a rzeczywistością sprawiła, że przeanalizował dokładnie jedno i drugie; całą energię skierował na lektury filozoficzne i historyczne i - ku swemu zaskoczeniu - znalazł pociechę i spokój w intelektualnej czystości marksizmu. Pławił się w jego wyrozumowanej bezwzględności, emocjonował się jego odwagą, akademickim zaprzeczaniem tradycyjnym wartościom. W końcu właśnie filozofia, a nie partia, dała mu siłę w jego samotności; filozofia wymagająca totalnego poświęcenia. A kiedy wreszcie osiągnął sukces, odwrócił się do tego wszystkiego plecami, jak do dziecięcego skarbu, który zostawił w Oksfordzie wraz ze wspomnieniem młodości.

Tak właśnie Fennan to ujął, a Smiley przyjął jego wyjaśnienia ze zrozumieniem. Niewiele było w tej historii gniewu i urazy, a mimo to, czy może właśnie dlatego, wydawała się prawdziwa. Ale było jeszcze coś w tym przesłuchaniu: przekonanie Smileya, że Fennan nie powiedział o czymś ważnym. Czy istnieje jakiś związek między zdarzeniem na Bywater Street a śmiercią Fennana? Intuicja i doświadczenie podpowiadały Smileyowi, że tak.

Przesłuchanie było nieformalne. Przechadzka po parku, kawiarnia w Millbank - urzędnik z Ministerstwa Spraw Zagranicznych rozmawiał z anonimowym człowiekiem... Czy na pewno anonimowym?!

Smiley wziął tomik w papierowej okładce i zaczął pisać ołówkiem po obwolucie książki: założmy, że mord dokonany na Fennanie i usiłowanie zabójstwa Smileya są powiązane. Co łączyło Smileya z Fennanem przed śmiercią tego ostatniego?

1. Przed przesłuchaniem przeprowadzonym w poniedziałek drugiego stycznia nigdy nie miałem okazji spotkać Fennana. Prze-Wyczytałem tylko jego teczkę w departamencie i poczyniłem pewne ustalenia wstępne.

2. Drugiego stycznia pojechałem taksówką do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ministerstwo zorganizowało przesłuchanie, ale nie wiedziano tam - powtarzam: nie wiedziano -kto je będzie prowadził. Zatem ani Fennan, ani ktokolwiek inny spoza departamentu nie wiedział, kim jestem.

3. Przesłuchanie składało się z dwóch części: pierwszej, przeprowadzonej w ministerstwie, podczas której ludzie przechodzący przez pokój w ogóle nie zwracali na nas uwagi; drugiej - w parku i w kawiarni, kiedy każdy mógł nas zobaczyć-

Co z tego wynika? Nic, chyba że...

Tak, jest tylko jeden możliwy wniosek: ktoś nas zobaczył, rozpoznał i bardzo mu się nie podobało, że Fennan i Smiley są razem.

Ale dlaczego? Z jakiego powodu Smiley mógłby być niebezpieczny? Odpowiedź jest oczywista - jako oficer służb specjalnych. Smiley odłożył ołówek. A więc temu, kto zabił Sama Fennana, zależało, żeby nie rozmawiał on z oficerem służb specjalnych. Może komuś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Komuś, kogo Fennan znał w Oksfordzie jako komunistę, komuś, kto obawiał się ujawnienia i myślał, że Fennan coś powie albo już coś powiedział? A jeśli już coś powiedział, to trzeba zabić też Smileya — szybko, zanim zdoła złożyć raport. To wyjaśniałoby zabójstwo Fennana i napad na Bywater Street. Nie wyjaśniało jednak kilku innych ważnych kwestii. Dlaczego Elsa Fennan kłamała w sprawie telefonu? Czemu jej mąż zamówił budzenie na ósmą trzydzieści? Kto napisał anonimowy donos? Gdyby morderca przestraszył się kontaktu pomiędzy Smileyem a Fennanem, na pewno nie ściągałby uwagi na Fennana, denuncjując go. Więc kto to zrobił? Kto?

Opadł na łóżko i zaniknął oczy. W głowie znów czuł pulsowanie. Może Peter Guillam mógłby pomóc.
On był jedyną nadzieją. Miał zawroty głowy. Bolało strasznie.

Uprzątnięcie

Mendel wprowadził Petera Guillauma do szpitalnej sali. Masz go - powiedział z szerokim uśmiechem. Rozmówcy czuli się niezręcznie, szczególnie Guillam ze względu na nagłą rezygnację Smileya i okoliczności spotkania. Smiley był w niebieskiej piżamie* włosy nad bandażami miał najeżone i rozczochrane, a na lewej skroni nadal widniał wielki siniak. Po szczególnie długiej pauzie odezwał się: Słuchaj, Peter, Mendel opowiedział ci, co mi się przydarzyło. Jesteś ekspertem - co wiemy o Wschodniemieckiej Misji ds. Stali?

Czysta jak świeży śnieg, kolego, nie licząc jej nagłego odjazdu. Zaledwie trzech panowie i pies. Czas spędzali zazwyczaj gdzieś w Hampstead. Nikt właściwie nie wiedział, dlaczego tu przyjechali, ale odwalili niezłą robotę w ciągu ostatnich czterech lat.

Jakie stawiali propozycje?

Początkowo starali się namówić Ministerstwo Handlu, żeby zrobiło wyłom w europejskich kręgach stali. Potraktowano ich oziębło, więc wystartowali ze sprawami konsularnymi z akcentem na narzędzia i produkty finalne, wymianę informacji przemysłowych i technicznych i tak dalej. Nie miało to nic wspólnego z tym, po co przyjechali, ale było bardziej do przyjęcia, jak sądzę.

—Co to za ludzie?

Dwóch specjalistów - profesor doktor jakiś tam i doktor jakiś tam inny kilka dziewczyn i obsługa.

—A kto był w obsłudze?

—Nie wiem. Paru młodych dyplomatów, żeby się dotarło. Odnotowaliśmy ich w departamencie.

Myślę, że będę ci mógł przysłać dokładniejsze informacje.

—Jeśli ci to nie sprawi kłopotu.

—Oczywiście, że nie Sprawi.

Znów nastąpiła krepująca pauza.

—Przydałyby się zdjęcia, Peter. Mógłbyś parę zorganizować? - zapytał Smiley.

—Tak, tak, oczywiście - Guillam odwrócił wzrok od Smileya, lekko zażenowany. - Wiesz, tak naprawdę, to my niewiele wiemy o Niemcach ze Wschodu. Jakies fragmenty, zebrane tu i tam, ale całość to dla nas tajemnica. Jeśli w ogóle prowadzili działalność operacyjną, to nie pod przykrywką handlu albo dyplomacji. Dlatego, jeśli nie mylisz się co do tego faceta, dziwne byłoby, gdyby był z Misji ds. Stali.

—Jak działali operacyjnie? - zapytał Mendel.

—Trudno jest generalizować na podstawie paru odosobnionych przypadków, o których wiemy. Mam wrażenie, że prowadzili agentów bezpośrednio z Niemiec, nie utrzymując bezpośredniego kontaktu między oficerem prowadzącym a agentem w strefie operacyjnej.

—Ale to musiało ich bardzo ograniczać - zdziwił się Smiley. - Możesz czekać całe miesiące, zanim twój agent będzie w stanie przyjechać na miejsce spotkania poza krajem. Może w ogóle nie znaleźć odpowiedniej przykrywki, żeby wybrać się w taką podróż.

—Cóż, na pewno ich to ograniczało. Ale wolą używać cudzoziemców - Szwedów, emigrantów z Polski i kogo tam jeszcze - do misji krótkoterminowych, w których ograniczenia techniki nie mają znaczenia. W wyjątkowych sytuacjach, gdy dysponują agentem rezydującym w kraju, pracują za pomocą systemu kurierów, co koresponduje z wzorcami sowieckimi.

Smiley słuchał z rosnącym zainteresowaniem.

—Całkiem niedawno - ciągnął Guillam—Amerykanie przejęli jednego kuriera i stąd wiemy cokolwiek o ernerdowskich technikach.

—A co takiego?

—Och, cóż, nigdy nie czekać na spotkaniach, nigdy nie spotykać się o ustalonym czasie, tylko dwadzieścia minut wcześniej; sygnały rozpoznawcze - wszystkie typowe sztuczki dodające błysku informacjom niskiej jakości. Zabawiają się też pseudonimami. Jeden kurier może się spotykać z trzema lub czterema agentami, oficer prowadzący może ich mieć aż piętnastu. Nigdy nie wymyślają dla siebie fałszywych nazwisk.

O czym ty mówisz? Na pewno to robią.

Mają agenta, żeby to robił za nich. Agent wybiera nazwisko, Oficer prowadzący je przybiera. Takie to sztuczki... - przerwał i spojrzał ze zdziwieniem na Mendla, który gwałtownie wstał.

Guillam zastanawiać się, czy wolno mu zapalić. Z niechęcią uznał, że jednak nie. Mendel właśnie mu opowiedział o przesłuchaniu Scarra.

—Pasuje - orzekł Guillam. - Pasuje do tego, co wiemy. Ale nie wiemy zbyt wiele. Jeśli Blondie był kurierem, to fakt, że za przykrywkę wybrał misję handlową, jest - przynajmniej w świetle moich doświadczeń f^czymś wyjątkowym.

Powiedziałeś, że ta misja jest tu od czterech lat - odparł Mendel. Blondie po raz pierwszy przyszedł do Scarra cztery lata temu. Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Wreszcie Smiley spytał:

—Peter, to jest możliwe, prawda? Chodzi mi o to, że w pewnych szczególnych sytuacjach operacyjnych może im być potrzebna tu na miejscu zarówno rezydencja, jak i kurierzy.

No, jeśli mają tu coś naprawdę wielkiego, to tak.

Czyli jeśli uruchomili wysoko usytuowanego agenta?

—Mniej więcej o to mi chodzi.

—A zakładając, że mają takiego agenta, jakiegoś Macleana albo Fuchsa, można sobie wyobrazić, że założyli tu stację pod przykrywką misji handlowej nie dla prowadzenia operacji, ale żeby być blisko tego agenta?

—Tak, to jest prawdopodobne. Ale to bardzo skomplikowana konstrukcja, George. Sugerujesz, że prowadzą tego agenta z zagranicy, obsługuje go kurier, a kuriera obsługuje misja handlowa, która zarazem jest osobistym aniołem stróżem tego agenta. To musiałby być naprawdę ktoś.

—Niezupełnie mi o to chodzi, ale o coś podobnego. Zakładam, że taki system montowany jest dla rzeczywiście wysoko umiejscowionego agenta. Nie zapominaj, że jedyne, co poświadcza cudzoziemskie pochodzenie Blondiego, to jego własne słowa.

—A ten agent - wtrącił się Mendel - czy on byłby w bezpośrednim kontakcie z misją handlową?

—Dobry Boże, nie—odparł Guillam. - Prawdopodobnie dysponuje procedurą alarmową, żeby się z nimi kontaktować - jakiś kod telefo-niczny czy coś w tym rodzaju.

—Jak to działa? - zapytał Mendel.

—Różnie bywa. Może to być system oparty na pomyłkowym połączeniu. Dzwonisz z budki telefonicznej i prosisz George'a Browna. Mówią ci, że George Brown tu nie mieszka, więc przepraszasz i odkładasz słuchawkę. Czas i miejsce spotkania ustalono wcześniej - sygnał alarmowy to nazwisko, którego użyłeś. Ktoś przyjdzie na spotkanie.

—Czym jeszcze mogłaby się zajmować ta misja? - zapytał Smiley.

—Trudno powiedzieć. Prawdopodobnie mu płaci. Aranżuje skrytki na przyjmowanie raportów. Oficer prowadzący urządza to wszystko dla swojego agenta i informuje go o sprawach, o których tamten musi wiedzieć, za pośrednictwem kuriera. Jak już mówiłem, opierają się na zasadzie sowieckiej - nawet najmniejsze detale są aranżowane przez oficera prowadzącego. Ludziom pracującym w polu zostawia się bardzo niewiele swobody.

Znów zapadło milczenie. Smiley popatrzył na Guillama, potem na Mendla, zamrugał i powiedział:

—Blondie nie przyszedł do Scarra ani w styczniu ani w lutym, prawda?

—Nie - odparł Mendel. - Ale tylko w tym roku.

—Fennan zwykł wyjeżdżać na narty w styczniu i lutym. To był pierwszy raz, kiedy nie pojechał.
—Zastanawiam się - powiedział Smiley - czy nie powinienem jeszcze raz spotkać się z Mastonem. Guillam przeciągnął się lubieżnie i błysnął zębami w uśmiechu.

—Możesz spróbować. Będzie podekscytowany, gdy się dowie, że cię odmóździli. Ale nie przejmuj się. Powiedz mu, że zostałeś zaatakowany, gdy łąziłeś po cudzym podwórku - on to zrozumie. Powiedz mu też o napastniku, George. Nie widziałeś go, rozumiesz, i nie znasz jego nazwiska, ale to kurier wschodnioniemieckiego wywiadu. Maston cię poprze; on tak zawsze. Szczególnie, kiedy musi złożyć raport ministrowi.

Smiley popatrzył na Guillama, ale nic nie powiedział.

—Po tym jak oberwałeś w głowę - dodał Guillam - wykaże dla ciebie pełne zrozumienie.

Ale, Peter...

Wiem, George, wiem.

No to pozwól, że jeszcze coś ci powiem. Blondie zabierał samo-hód w pierwszy wtorek każdego miesiąca.

No i?

Wtedy wypadały wieczory, kiedy Elsa Fennan chodziła do Weybridge. Powiedziała, że we wtorki Fennan pracuje do późna.

Guillam wstał.

Pozwól, George, że trochę powęszę wokół tej sprawy. Cześć, Mendel. Zadzwoń do ciebie wieczorem.

Nie wiem, co możemy teraz zrobić, ale postaram się coś wymyślić. - Podszedł do drzwi. - A przy okazji, gdzie są rzeczy Fennana - portfel, dziennik i tak dalej? To, co znaleźli przy ciele?

Prawdopodobnie nadal na komisariacie - odparł Mendel - aż do zamknięcia sprawy. Guillam stał przez chwilę, patrząc na Smileya. Zastanawiał się, co powiedzieć.

Potrzebujesz czegoś, George?

Nie, dzięki... właściwie, jest jedna rzecz.

Tak?

Mógłbyś zdjąć mi z karku wydział kryminalny? Odwiedzali mnie już trzy razy i, oczywiście, tu, na miejscu, do niczego nie doszli. Mógłbyś Zrobić z tego tymczasowo sprawę wywiadu? Być tajemniczy i kojący?

—Tak, myślę, że to da się zrobić.

Wiem, że to trudne, Peter, boja nie...

I — Och, jeszcze jedno. Kazałem porównać list samobójczy Fennana i anonim. Zostały napisane przez różnych ludzi na tej samej maszynie do pisania. Różny nacisk i odstępy, ale identyczna czcionka. Do widzenia, stary. Weź się do winogron. Guillam zamknął za sobą drzwi. Słyszeli, jak jego kroki odbijają się rześkim echem, gdy szedł korytarzem. Mendel skręcił sobie papierosa. m — Boże - powiedział Smiley - czy ciebie nic nie przestraszy? Nie widziałeś gdzieś w pobliżu siostry?

Mendel uśmiechnął się i potrząsnął głową

—Raz kozie śmierć - powiedział, wkładając papierosa między cienkie wargi. Smiley patrzył, jak go zapala. Wyciągnął zapalniczkę, zdjął przykrywkę i poplamionym kciukiem zakręcił kółkiem, szybko osłaniając zapalniczkę obiema dłońmi. Potem podniósł płomień do papierosa. Udałoby mu się nawet przy huraganie.

— Cóż, ekspercie od zbrodni - powiedział Smiley - jak nam idzie?

—Mamie - odpowiedział Mendel. — Bardzo kiepsko.

—Dlaczego?

—Wszędzie znaki zapytania. Wszystko trzeba sprawdzić. A ja lubię algebrę.

—Co algebra ma z tym wspólnego?

—Najpierw trzeba udowodnić to, co można udowodnić. Znaleźć stałą. Czy ona naprawdę poszła do teatru? Czy była sama? Czy sąsiedzi słyszeli, jak wracała? Jeśli tak, to o której godzinie? Czy Fennan naprawdę wracał późno we wtorki? Czy jego żonczka rzeczywiście regularnie chodzi do teatru co dwa tygodnie, tak jak powiedziała?

—A ten telefon o ósmej trzydzieści? Mógłbyś to jakoś uporządkować?

—Wciąż chodzi ci po głowie ten telefon, co?

—Tak. Ze wszystkich znaków zapytania ten jest największy. Myślałem o tym, wiesz, i po prostu nie widzę w tym sensu. Przejrzałem rozkład jazdy jego pociągu. Był punktualnym człowiekiem - i często przychodził do ministerstwa przed innymi. Mógł złapać pociąg o ósmej pięćdziesiąt cztery, o dziewiętej osiem, a w najgorszym przypadku o dziewiętej czternaście. Ten o ósmej pięćdziesiąt cztery dowozi go na dziewiątą trzydzieści osiem - lubił być w biurze za kwadrans dziesiąta. Niemożliwe, żeby kazał się budzić o ósmej trzydzieści.

—Może po prostu lubił dzwonki - powiedział Mendel, Wstając.

—I listy - dodał Smiley. - Różni autorzy, ale maszyna do pisania ta sama. Nie licząc mordercy, dwoje ludzi miało do niej dostęp: Fennan i jego żona. Jeśli przyjmujemy, że to Fennan napisał list pożegnalny - I a z pewnością to on go podpisał - to musimy dopuścić, że Elsa napisała I donos. Dlaczego to zrobiła?

Smiley był zmęczony. Ulżyło mu, że Mendel już idzie.

—Wróć do algebry. Znajdź stałą.

—Będą ci potrzebne pieniądze - powiedział Smiley i podał mu kilka banknotów z portfela leżącego przy łóżku. Mendel wziął je bez cere-ł gięli i wyszedł. Smiley położył się. W głowie czuł dzikie pulsowanie, była rozgrzana i do białości. Pomyślał, żeby wezwać pielęgniarkę, ale tchórzostwo przeważyło. Stopniowo pulsowanie zelżało. Z dworu usłyszał dzwonki ambulansu skręcającego na podwórko szpitalne z Prince of Wales Drive.

—Może po prostu lubił dzwonki - zamruczał i zasnął.

Obudził go odgłos sprzeczki na korytarzu - słyszał uniesiony i proteście głos siostry, słyszał kroki i natarczywy głos Mendla. Nagle drzwi się otworzyły i ktoś zapalił światło. Zamrugął i usiadł w łóżku, spoglądając na zegarek. Była za kwadrans szósta. Mendel mówił do niego, prawie krzyczał. O czym on mówił? Coś o moście Battersea... policja rzeczna... zaginiony od wczoraj... Był już zupełnie rozbudzony. Adam Scarr nie żył.

Opowieść Dziewicy

Mendel prowadził bardzo dobrze, z belferską pedanterią, która na pewno rozśmieszyłaby Smileya. Droga do Weybridge była jak zwykle zapchana. Mendel nienawidził zmotoryzowanych. Daj człowiekowi samochód, a zostawi w garażu pokorę i zdrowy rozsądek. Było mu wszystko jedno, kto siedział za kółkiem - widywał już biskupów jadących siedemdziesiątką przez obszary zabudowane i straszących przechodniów. Podobał mu się samochód Smileya. Podobało mu się, że był zadbany, te rozsądne dodatki, lusterka boczne, światła cofania. To był przyzwoity mały samochodzik.

. Podobali mu się ludzie, którzy dbali o przedmioty, kończyli to, co zaczęli. Lubił gruntowność i precyzję. Żadnej prowizorki. Jak to powiedział Scarr? „Młody, ale zimny - zimny jak organizacja charytatywna”. Znał takie spojrzenie i Scarr też je znał... spojrzenie wyrażające całkowitą negację, oczy młodego zabójcy. Nie spojrzenie dzikiej bestii, nie uśmiechnięte okrucieństwo maniaka, ale spojrzenie znamionujące najwyższą sprawność, wypróbowaną i udowodnioną. Był to stan wykraczający poza doświadczenia wojenne. Przyglądanie się śmierci na wojnie jakoś wyrabia człowieka; przekonanie zawodowego zabójcy o własnej wyższości jest ponad tym, daleko ponad. Tak, Mendel już takich widywał, mężczyzn, którzy trzymali się z boku, mężczyzn o bladych oczach bez wyrazu, mężczyzn, za którymi szaleją dziewczęta, a oni się nie uśmiechają. Tak, był zimny, bez wątpienia.

Śmierć Scarra wystraszyła Mendla. Wymógł na Smileyu przyrzeczenie, że nie wróci na Bywater Street, gdy go wypuszcza ze szpitala, jeśli będzie miał trochę szczęścia, to pomyślą, że nie żyje. Śmierć Scarra dowiodła w oczywisty sposób jednego: morderca nadal był w Anglii, nadal próbował po sobie posprzątać. „Kiedy wstanę - powiedział ostatniego wieczora Smiley - musimy go znów wywabić z norki. Położymy kawałek sera”. Mendel wiedział, kto będzie tym serem: Smiley. Jeżeli mieli rację co do motywu, to znajdzie się, rzecz jasna, jeszcze jeden kawałek sera: żona Fennana. Niewiele jej pomogło, że nie została zamordowana, pomyślał ponuro. Zrobiło mu się wstyd i zaczął myśleć o innych sprawach. Na przykład o Smileyu.

Mały cwaniaczek, ten Smiley. Przypominał Mendlowi tłustego chłopca, z którym grywał w szkole w piłkę. Nie umiał biegać ani kopać i był ślepy jak nietoperz, ale grał jak wszyscy diabli. Nie odpuszczał, dopóki był w stanie ustać na nogach. Gdy się boksował, podchodził nieosłonięty i wymachiwał na wszystkie strony ramionami; dawał się przerobić na miazgę, zanim sędzia przerywał pojedynek. Sprytny był z niego facet.

Mendel zatrzymał się przy przydrożnej kawiarence na filiżankę herbaty i pączka, a potem pojechał do Weybridge. Teatr stał przy jednokierunkowej ulicy wiodącej do High Street. Był tam zakaz parkowania, więc zostawił samochód na stacji kolejowej i pieszo wrócił do miasta.

Frontowe drzwi teatru były zamknięte. Mendel odnalazł boczne, które stały otworem. Ktoś napisał na nich kredą „wejście dla aktorów”. Nie było dzwonka; lekki zapach kawy dolatywał z głębi ciemnego zielonego korytarza. Mendel wszedł i ruszył korytarzem. Na końcu były kamienne schody z metalową poręczą wiodące do następnych drzwi. Zapach kawy był silniejszy, usłyszał też jakieś głosy.

Och, bzdury, kochanie, doprawdy. Jeśli te sępy z Surrey chcą, żeby przez trzy miesiące szedł Barrie, to niech mają, czego chcą. To będzie albo Barrie, albo Kukułcze gniazdo, które idzie już trzeci rok, a jak dla mnie Barrie bije je na głowę - mówiła jakaś kobieta, sądząc po głosie, w średnim wieku.

Odpowiedział jej mężczyzna płaczącym dyszkantem:

Cóż, Ludo może zawsze zagrać Piotrusia Pana. Prawda, Ludo?

| Świnia, Świnia - odezwał się trzeci głos, także męski. Mendel otworzył drzwi. Stał za sceną. Po jego lewej stronie znajdowała się płyta pilśniowa z kilkunastoma przełącznikami zamontowanymi na drewnianym panelu. Obok stało krzesło dla suflera, rokokowe, całe w pozłocie i haftach. Pośrodku sceny na baryłkach siedziało dwóch mężczyzn i kobieta Palili i pili kawę. Dekoracja przedstawiała pokład statku. Centralną część zajmował maszt z takielunkiem i drabinkami sznurowymi, a wielkie tekturowe działo było wycelowane w stronę tekstylnego morza i nieba. Rozmowa nagle się urwała, gdy Mendel pojawił się na scenie.

—O rany, duch podczas uczty - mruknął ktoś. Spojrzeli na niego i zachichotali..

Pierwsza odezwała się kobieta:

—Szukasz kogoś, kochanie?

—Przepraszam, że przeszkodziłem. Chciałem porozmawiać o kupnie abonamentu. Chciałbym przyłączyć się do klubu.

—Ależ oczywiście. Jakie to miłe. — Kobieta wstała i podeszła do niego. - Naprawdę niezwykle miłe.

Wzięła jego lewą rękę w obie dłonie i ścisnęła ją,! jednocześnie się odsuwając i wyciągając ramiona na całą długość. To był jej królewski gest - lady Makbet przyjmuje Duncana. Przekrzywiła głowę na bok i uśmiechnęła się dziewczęco. Trzymając Mendla za rękę, przeprowadziła go przez scenę do drzwi po przeciwnej stronie. Znaleźli się w małym pokoiku zaśmieconym starymi programami i plakatami, tubkami ze szminką aktorską, sztucznymi włosami \ tandetnymi fragmentami żeglarskiego kostiumu.

—Widział pan naszą pantomimę w tym roku? ffyspa skarbów, Co za sukces. I znacznie bardziej pełne treści niż te wulgarne rymowanki z pokoju dziecięcego, prawda?

—Tak, oczywiście - potwierdził, choć nie miał zielonego pojęcia, o czym ona mówi. Kątem oka dostrzegł stos rachunków, starannie ułożonych i spiętych klipsem do papieru. Ten na samej górze został wystawiony na panią Ludo Oriel i był przeterminowany o cztery miesiące.

Patrzyła na niego badawczo zza okularów. Była niska i ciemnowłosa, miała zwiotczałą skórę na szyi i gruby makijaż, który jednak nie zdołał pokryć zmarszczek. Nosila spodnie i gruby pulower pochłapany farbą klejową. W wąskich ustach trzymała papierosa, pośrodku, na przedłużeniu linii nosa. Wargi wygięte w łuk zniekształcały dolną część twarzy, nadając jej wyraz zniecierpliwienia. Mendel pomyślał, że musi być trudnym i byстрыm rozmówcą. Ulgę sprawiła mu myśl, że nie jest w stanie terminowo płacić swoich rachunków.

—Pan chce wstąpić do klubu, prawda? i Nie.

Jeśli jest pan kolejnym cholernym handlarzem, to może się pan stąd wynosić — powiedziała z nieskrywaną złością. - Powiedziałam, że zapłac?» zapłac? Przestańcie mnie męczyć. Jeżeli za waszą przyczyną ludzie zaczną myśleć, że jestem skończona, to wy przegracie, nie ja. Nie jestem wierzyicielem, pani Oriel. Przyszedłem, żeby zaproponować pani pieniądze.

Czekała.

Jestem agentem rozwodowym. Bogaty klient. Chcę zadać pani kilka pytań.» Jesteśmy gotowi zapłacić pani za stracony czas.

Chryste — rzekła z ulgą. — Dlaczego nie powiedział pan tego od razu? . Oboje się roześmieli. Mendel odliczył banknoty i położył pięć funtów na stosie rachunków. Jak tworzyacie listę subskrybentów? - spytał. - jakie są korzyści ze wstąpienia do klubu?

Cóż, o jedenastej podajemy na scenie wodnistą kawę. Członkowie klubu mogą przebywać z aktorami podczas przerw w próbie, od jedenastej do jedenastej czterdzieści pięć. Oczywiście, płacą za wszystko, co dostaną, ale wstęp jest ograniczony wyłącznie do członków klubu. Rozumiem.

- A teraz coś, co pewnie pana zainteresuje. Rano mamy tu głównie chłoptasiów i nimfy.

Ciekawe. Co jeszcze się dzieje?

Co dwa tygodnie wystawiamy inną sztukę. Członkowie klubu mogą rezerwować miejsca na konkretny dzień każdej serii - co drugi wtorek i tak dalej. Premiery mamy w pierwsze i trzecie poniedziałki każdego miesiąca. Przedstawienie zaczyna się o wpół do ósmej. Trzymamy rezerwację klubową do siódmej dwadzieścia. Dziewczyna w kasie ma plan widowni i zakreśla każde sprzedane miejsce.

Rezerwacje klubowe są żółte i sprzedawane na samym końcu.

Rozumiem. Jeśli któryś z członków waszego klubu nie zajmie swojego miejsca, to zostanie ono skreślone na planie widowni.

- Tylko jeśli zostało sprzedane. Oczywiście.

Rzadko gramy przy pełnej sali po pierwszym tygodniu. Staramy się dawać premierę co tydzień, rozumie pan, ale niełatwo jest dostać - hm - kredyt. Na premierę co dwa tygodnie nie starcza środków.

—Czy zachowujecie stare plany widowni?

—Czasami, dla celów rachunkowych.

—A z wtorku trzeciego stycznia?

Otworzyła szafkę i wyjęła plik drukowanych planów widowni.

—To czwarty tydzień naszej pantomimy. Klasyka.

—Jasne - powiedział Mendel.

—No dobrze, to kim się pan interesuje? - zapytała Ludo Oriel, pod-nosząc z biurka księgę główną.

—Niska blondynka w wieku około czterdziestu dwóch, trzech lat. Nazywa się Fennan, Elsa Fennan.

Pani Oriel otworzyła księgę. Mendel bezwstydnie zajrzał jej przez ramię. Nazwiska członków klubu były wpisane w kolumnie po lewej stronie. Czerwony znaczek przy nazwisku wskazywał, że członek opłacił subskrypcję. Po prawej stronie widniały notki o stałych rezerwacjach poczynionych na rok z góry. Było około osiemdziesięciu członków.

—Nazwisko nic mi nie mówi. Gdzie ona siedzi?

—Nie mam pojęcia.

—O, jest. Merridale Lane, Walliston. Merridale! Popatrzmy. Z tyłu, z brzegu rzędu. Dziwny wybór, nie sądzi pan? Miejsce numer R2. Ale Bóg wie, czy zajęła je trzeciego stycznia. Nie sądzę, żebyśmy zachowali plan widowni, chociaż ja nigdy niczego nie wyrzucam. Przedmioty po prostu wyparowują, prawda? - Popatrzyła na niego z ukosa, zastanawiając się, czy zarobiła te pięć funtów. - Wie pan co, zapytamy Dziewicy. - Wstała i podeszła do drzwi. - Fennan... Fennan... - powtarzała. - Sekundkę, coś mi to mówi. Ciekawe dlaczego. A niech mnie - oczywiście - teczka na nuty. - Otworzyła drzwi. - Gdzie jest Dziewica? - zapytała kogoś na scenie.

—Bóg wie.

—Świnia jesteś - mruknęła Ludo Oriel i zamknęła drzwi. Odwróciła się do Mendla. - Dziewica to nasza wielka nadzieja. Angielska róża, zauroczona sceną córka miejscowego notariusza.

Fildekosowe pończochy, wysoko zadarty nosek. Nie cierpimy jej. Od czasu do czasu dostaje rolę, bo jej ojciec płaci za prywatne lekcje. Siaduje tu czasem wieczorami, kiedy wszyscy się spieszą - ona i pani Torr, sprzątaczką i szatniarką. Kiedy jest spokój, pani Torr zajmuje się wszystkim, a Dziewica snuje się z nieszczęśliwą miną po kulisach z nadzieją, że aktorka grająca główną rolę kobiecą padnie trupem. - Przerwała. - Jestem pewna, że gdzieś słyszałam nazwisko Fennan.

Pewna jak cholera. Ciekawe, gdzie się podziewa ta krowa.

Zniknęła na kilka minut i wróciła z wysoką, ładną dziewczyną kędzierzawych blond włosów i różowych policzkach.

To Elisabeth Pidgeon. Chyba będzie mogła nam pomóc. Kochanie, chcemy zlokalizować panią Fennan, członkinię klubu. Czy nie mówiłaś mi czegoś o niej?

—O tak, Ludo. — Musiało się jej wydawać, że mówi słodkim głosem-Uśmiechnęła się uwodzicielsko do Mendla, przekrzywiła głowę : splotła palce.

_ Znasz ją? - spytała pani Oriel.

O tak, Ludo. Jest szalenie muzykalna; przynajmniej tak mi się wydaje, bo zawsze przynosi swoją muzykę. Jest szalenie szczupła i dziwna. Jest cudzoziemką prawda, Ludo?

Dlaczego dziwna? - zapytał Mendel.

—Och, cóż, ostatnim razem okropnie się złościła o ten fotel obok niej. To była rezerwacja klubowa i, rozumie pan, minęła godzina. Dopiero co zaczęliśmy sezon pantomimy i miliony ludzi rzuciły się na miejsca, więc je sprzedawałam. A ona w kółko mówiła, że jest pewna, że on przyjdzie, bo zawsze przychodzi.

przyszedł? - zapytał Mendel.

Nie. Sprzedałam miejsce. Musiała być strasznie zła, bo wyszła po drugim akcie i zapomniała zabrać swoją teczkę na nuty.

—A ta osoba, co do której była pewna, że się pojawi - dopytywał się Mendel - czy jest w przyjaznych stosunkach z panią Fennan?

Ludo Oriel mrugnęła do niego znacząco.

¿¿r Cóż, u licha, tak m i się wydawało - odparła Dziewica. - To przecież jej mąż.

Mendel patrzył na nią dłuższą chwilę, a potem się uśmiechnął.

Moglibyśmy znaleźć krzesło dla Elisabeth?

—O kurczę, dziękuję - powiedziała Dziewica i usiadła na brzeżku połączanego starego krzesła, takiego samego jak krzesło suflera za kulisami. Złożyła czerwone, pulchne dłonie na kolanach i pochyliła się do przodu. Przez cały czas się uśmiechała, zadowolona, że stała się ośrodkiem zainteresowania. Pani Oriel spojrzała na nią jadownicie.

—Dlaczego sądzisz, że to jej mąż? - W głosie Mendla pojawiła się niepokojąca nutka, której wcześniej nie było.

Cóż, przychodzili osobno, ale pomyślałam, że skoro mają fotele z dala od reszty rezerwacji klubowych, to muszą być mężem i żoną I on zawsze miał ze sobą własną teczkę na nuty.

—Rozumiem. Co jeszcze pamiętasz z tamtego wieczoru, Elisabeth?

—Och, bardzo wiele, bo widzi pan, okropnie się poczułam, kiedy wyszła taka obrażona, a potem jeszcze zadzwoniła. To znaczy, pani Fennan zadzwoniła. Podała nazwisko i powiedziała, że wyszła wcześniej i zapomniała swojej teckki na nuty. Zgubiła także kwit na nią i była bardzo zdenerwowana. Mówiła, jakby płakała. Słyszałam w tle czyjś głos i wtedy ona powiedziała, że ktoś wpadnie i zabierze teczkę, jeśli można bez kwitu. Powiedziałam, że oczywiście, a pół godziny później przyszedł ten mężczyzna. Taki fajny. Wysoki blondyn.

—Rozumiem - powiedział Mendel. - Dziękuję, Elisabeth. Bardzo pani mi pomogła.

—O kurczę, to świetnie, i Dziewczyna wstała.

—A ten mężczyzna - spytał Mendel - który zabrał jej teczkę na nuty - czy to nie był czasem ten sam, który siadywał obok niej w teatrze?

—Tak, kurczę, przepraszam. Powinna była to powiedzieć.

—Rozmawiała pani z nim?

—Powiedziałam mu tylko: „Proszę, to dla pana”. A on podziękował.

—Jaki miał akcent?

—Cudzoziemski, tak jak pani Fennan. Ona jest cudzoziemką, prawda? Chyba stąd całe to zamieszanie, jej zdenerwowanie — cudzoziemski temperament. Uśmiechnęła się do Mendla, odczekała chwilę i wyszła.

—Krowa - mruknęła pani Oriel, spoglądając na zamknięte drzwi. Zwróciła wzrok w stronę Mendla. - Cóż, mam nadzieję, że nie żałuje pan swoich pięciu funciaków?

—Myślę, że nie - odparł Mendel.

Klub niepoważnych

Mendel zastał Smileya ubranego, siedzącego w fotelu. Na łóżku wyciągnął się leniwie Peter Guillam, w ręce trzymał niedbale bladzieloną teczkę.

Wkracza trzeci morderca - powiedział, gdy Mendel wszedł.

Mendel przysiadł na skraju łóżka i pokiwał głową w stronę Smileya. iw Gratulacje. Miło cię widzieć na nogach.

Dziękuję. Ale obawiam się, że gdybyś naprawdę widział mnie na nogach, nie gratulowałbyś mi. Czuję się słaby jak kociak.

Kiedy cię wypuszczą? r-Nie wiem.

—Nie pytałeś?

Nie.

—Więc zrób to. Mam dla ciebie nowiny. Nie wiem, co oznaczają, ale coś oznaczają na pewno.

No, no - wtrącił się Guillam - każdy ma jakieś nowiny. Czyż to nie ekscytujące? George ogląda moje zdjęcia rodzinne - uniósł zieloną teczkę - i rozpoznaje swoich starych kumpli.

Mendel poczuł się zakłopotany, nie zrozumiał, o co chodzi. Włączył się Smiley:

Powiem ci o tym jutro wieczorem przy obiedzie. Wychodzę stąd rano, bez względu na to, co powiedzą. Myślę, że znaleźliśmy mordercę. A teraz posłuchajmy twoich nowin. - W jego oczach nie było triumfu. Wyrażały tylko niepokój.

Klub, do którego należał Smiley, nie jest wymieniany na stronicach Who is who. Utworzył go młody odszczepieniec z Junior Carltona nazwiskiem Steed-Asprey, któremu sekretarz udzielił upomnienia za przeklinanie w obecności południowoafrykańskiego biskupa. Przekonał swoją byłą gospodynię z Oksfordu, żeby opuściła spokojny dom w Hoilywell i zajęła dwa pokoje z piwnicą na Manchester Square pozostawione do jego dyspozycji przez forsiastego krewnego. Kiedyś klub liczył czterdziestu członków, z których każdy płacił po pięćdziesiąt gwinei rocznie. Zostało ich trzydziestu jeden. Nie było tu kobiet ani zasad, nie było sekretarzy ani biskupów. Można było przynieść kanapki i kupić sobie piwo albo przynieść kanapki i nie kupować niczego. Póki było się w miarę trzeźwym i zajmowało swoimi sprawami, nikogo nie obchodziło, w co się jest ubranym, co się robi albo mówi ani kogo się ze sobą przyprowadza. Pani Sturgeon już nie harowała za barem, nie przysmażała zamówionego mięsa na kominku w piwnicy, ale dowodziła dwoma emerytowanymi sierżantami z małego granicznego pułku. Większość przychodzących byli to mniej więcej rówieśnicy Smileya z Oksfordu. Panowała zgoda co do tego, że klub ma służyć tylko jednemu pokoleniu, że zestarzeje się i umrze wraz ze swoimi członkami. Gdy wojna zebrała swoje żniwo, nikt nawet nie napomknął o tym, że należałoby wybrać nowych członków.

W sobotni wieczór w klubie było tylko kilka osób. Smiley złożył zamówienie i zastawiono dla nich stół w piwnicy koło ceglanego kominka, na którym płonął jasny ogień podsycany węglem. Byli tam sami, siedzieli nad befsztykami z polędwicy i bordo, a na zewnątrz nieustannie padał deszcz. Tej nocy całej trójce świat zdawał się miłym i spokojnym miejscem, mimo niezwyklej sprawy, która ich tu sprowadziła.

—Najpierw - zaczął Smiley, zwracając się do Mendla - muszę ci wyjaśnić parę spraw. Z zawodu, jak wiesz, jestem funkcjonariuszem wywiadu. Zacząłem pracę w służbach specjalnych na długo przedtem, nim wplątał się w wielką politykę Whitehall. W tamtych dniach było nas mało i płacono nam niewiele. Po kursie i stażu w Ameryce Południowej i Europie Środkowej podjąłem pracę wykładowcy na jednym z niemieckich uniwersytetów. Wyszukiwałem młodych Niemców z potencjałem agenta. - Przerwał, uśmiechnął się do Mendla i dodał: - Wybacz, że używam żargonu. Mendel poważnie kiwnął głową i Smiley kontynuował opowieść. Zdawał sobie sprawę, że robi się pompatyczny, ale nie był w stanie temu zapobiec.

To działo się na krótko przed wojną; straszne czasy były wtedy Niemczech, nietolerancja szalała.

Byłbym kompletnym idiotą, gdyby bezpośrednio zwrócił się do kogokolwiek z taką sugestią. Moją

jedyną szansą była nijakość, całkowita bezbarwność i wystawianie kandydatów za czyimś pośrednictwem. Starałem się przywozić niektórych nich na krótko do Anglii, na objazdy studenckie. Uważałem, żeby odczas tych pobytów nie kontaktować się z departamentem, bo wtedy «je mieliśmy zielonego pojęcia o sprawności niemieckiego kontrwywiadu. Nigdy nie wiedziałem, komu złożono propozycję, i tak było najlepiej-Na wypadek, gdyby mnie zdjęli.

Przerwał, zakłopotany z jakiegoś powodu, i zajął się winem. Na oiczkach pojawiły inu się różowe plamki. Poczul lekki rausz, chociaż ipl bardzo mało. Bylo mu głupio.

Przepraszam, mam kłopoty z wypowiedaniem myśli... Tak czy siak, kiedy tam siedziałem, odezwało się pukanie do drzwi i wszedł młody student. Miał dziewiętnaście lat, ale wyglądał młodziej. Nazywał się Dieter Frey. Był moim uczniem, inteligentnym chłopcem, na którego miło było popatrzeć. - Znów przerwał i zaczął się gapić w przestrzeń. Może to uraz, może to słabość sprawiły, że wspomnienia odżyły I taką mocą. - Dieter był bardzo przystojny, miał wysokie czoło i całą masę kręconych czarnych włosów. Nogi miał zdeformowane wskutek, jak mi się zdaje, paraliżu dziecięcego. Chodził o lasce, na której ciężko się opierał. Oczywiście, stał się romantyczną postacią na tym małym uniwersytecie; uważano go za figurę bajroniczną i tak dalej. Prawdę powiedziawszy, ja nie dostrzegłem w nim nic romantycznego. Wiecie, Niemcy pasjami lubią odkrywać młodych geniuszy, od Herdera począwszy, a na Stefanie George'u skończywszy. Wszyscy cackają się z takim od kołyski. Ale z Dieterem nie można było się cackać. Była w nim zawzięta niezależność, jakaś bezwzględność, która odstraszała większość ewentualnych patronów. Nie tylko kalectwo, lecz prawdopodobnie także rasa budziły w Dieterze ducha obrony. Był on Żydem. W jaki sposób zachował miejsce na uniwersytecie - nigdy nie zdołałem tego pojąć. Prawdopodobnie nie wiedzieli, że jest Żydem. Może brano go za południowca, na przykład Włocha. Nie rozumiem, jak ktoś mógł tak pomyśleć. Dla mnie był typowym semitą.

Dieter był socjalistą. Nie kzył swoich poglądów nawet w tamtych dniach. Kiedyś rozważałem zwerbowanie go, ale zabiegi wokół kogoś, kto tak jak on nadawał się doskonale do obozu koncentracyjnego, wydały mi się stratą czasu. Ponadto był zbyt aktywny i zbyt próżny.

Prowadził wszystkie kółka uniwersyteckie — dyskusyjne, polityczne poetyckie i tak dalej. W klubach sportowych piastował honorowe stanowiska. Miał odwagę nie pić w środowisku, gdzie dowodziło się swej męskości, przechodząc przez pierwszy rok w stanie nieustannego upojenia.

I właśnie Dieter - wysoki, przystojny, władczy kaleka, idol swojego pokolenia, Żyd - odwiedził mnie w gorący letni wieczór. Powiedziałem, żeby usiadł, i zaproponowałem coś do picia. Odmówił.

Przygotowałem kawę, chyba na palniku gazowym. Rozmawialiśmy zdawkowo o moim ostatnim wykładzie na temat Keatsa. Narzekałem na stosowanie niemieckich metod krytycznoliterackich do poezji angielskiej, co doprowadziło do typowej dyskusji na temat hitlerowskiej interpretacji „dekadencji” w sztuce. Dieter coraz bardziej się zapalał w potępianiu współczesnych Niemiec, a wreszcie samego hitleryzmu. Oczywiście, miałem się na baczności - nie byłem wtedy taki głupi, jak jestem teraz. Wreszcie zapytał mnie bez ogródek, co myślę o hitlerowcach. Odparłem ostrożnie, że nie mam zwyczaju krytkować gospodarzy i że tak czy inaczej, polityka to zabawna rzecz. Nigdy nie zapomnę jego odpowiedzi. Wstał z trudem i krzyknął z furią: „von Freude ist nicht die Rede!” Nie mówimy o rozrywce! - Smiley przerwał i popatrzył przez stół na Guillama. - Przepraszam, Peter, stając się rozwlekły.

—Nonsens, stary. Opowiadasz historię na swój własny sposób. Mendel wymruczał kilka słów aprobaty; siedział sztywno, trzymając dłonie na stole. W pokoju nie było żadnego światła oprócz poświaty z kominka rzucającej wysokie cienie na wyłożoną surowym kamieniem ścianę za nimi. Karafka z porto była w trzech czwartych pusta. Smiley nalał sobie trochę i przekazał karafkę pozostałym.

—Wrzeszczał na mnie - ciągnął. - Po prostu nie rozumiał, jak mogę stosować niezależne standardy krytyczne wobec sztuki i pozostawać tak nieczuły na politykę Jak mogę bredzić o

wolności artystycznej, kiedy jedna trzecia Europy jęczy w okowach. Czy nic dla mnie nie znaczy, że współczesna cywilizacja wykrwawia się na śmierć? Co tak świętego jest w osiemnastym stuleciu, że mogę odrzucić dwudziesty wiek? Chodził na moje seminaria, bo uważał mnie za człowieka oświeconego, ale teraz zdał sobie sprawę, że jestem gorszy od tamtych.

Nie zatrzymywałem go. Bo co mogłem zrobić? Był podejrzany: zbuntowany Żyd na uniwersytecie, ciągle - z niewyjaśnionych przyczyn - wolny. Ale obserwowałem go. Semestr dobiegał końca i miały się zacząć długie wakacje. Trzy dni później przyszedł na ostatnie zajęcia i podczas dyskusji był tak otwarty, że naprawdę przeraził ludzi. Nadszedł koniec roku akademickiego i Dieter odszedł nie pożegnawszy się ze mną. Nie spodziewałem się, że jeszcze go zobaczę.

Pół roku później wybrałem się do przyjaciela, który mieszka niedaleko Drezna, rodzinnego miasta Dietera. Na stację przyjechałem pół godziny za wcześnie. Zamiast kręcić się po peronie, postanowiłem pójść się na spacer. Kilkaset metrów od dworca stał ponury osiemnastowieczny dom. Było przed nim małe podwórko ogrodzone wysokim metalowym płotem brama z kutego żelaza. Budynek zamieniono w tymczasowe więzienie: Lipa ogolonych więźniów, mężczyzn i kobiet, chodziła wokół placu. W środku stało dwóch strażników z pistoletami maszynowymi. Spostrzegłem znajomą postać: wyższy niż pozostali, kulejący, usiłujący dotrzymać kroku. To był Dieter. Zabrali mu laskę. Kiedy myślałem o tym nóżniej, zrozumiałem, że gestapo nie chciało aresztować najpopularniejszej postaci na uniwersytecie w trakcie roku akademickiego.

Zapomniałem o pociągu, wróciłem do miasta i znalazłem w książce telefonicznej adres jego rodziców. Wiedziałem, że ojciec Dietera jest lekarzem, więc nie sprawiło mi to trudności. Poszedłem pod znaleziony adres. W domu była tylko matka. Ojciec zginął w obozie koncentracyjnym. Nie miała ochoty rozmawiać o Dieterze, powiedziała tylko, że nie zabrali go do obozu dla Żydów, ale do ogólnego, najwyraźniej na „czas reedukacji” ^Spodziewała się jego powrotu za jakieś trzy miesiące. Zostawiłem mu wiadomość, że nadal mam kilka jego książek i chętnie mu je zwrócę, jeśli do mnie zadzwoni. Wydarzenia trzydziestego dziewiątego roku całkowicie zaprzętnęły moją uwagę i przez długi czas nawet nie pomyślałem o Dieterze. Wkrótce po przyjeździe z Drezna odwołano mnie do Anglii. Spakowałem się i wyjechałem w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Wkrótce dostałem nowy przydział wymagający intensywnych przygotowań, instruktaży i ćwiczeń. Miałem wracać na kontynent, żeby uaktywnić agentów w Niemczech, których zwerbowano ze względu na nadzwyczajną sytuację. Zacząłem uczyć się na pamięć kilkunastu nazwisk i adresów. Możecie sobie wyobrazić moją reakcję, gdy odkryłem, że jest wśród nich Dieter Frey.

Kiedy przeczytałem jego teczkę, stwierdziłem, że właściwie sam się zwerbował, gdy wpadł do konsulatu w Dreźnie, pytając, dlaczego nikt nie ruszy palcem, żeby powstrzymać prześladowania Żydów. - Smiley przerwał i roześmiał się. - Znał się na ludziach. - Obrzucił wzrokiem Mendla i Guillama.

—Moją pierwszą reakcją było poczucie urażonej dumy. Miałem chłopaka tuż pod nosem i uznałem, że się nie nadaje. A potem przeraziłem się, że jego gwałtowny temperament może kosztować życie mnie i innych. Mimo niewielkich zmian w wyglądzie i nowej przykrywki, pod którą pracowałem, Dieter mógłby mnie natychmiast zdemaskować jako George'a Smileya z uniwersytetu. Niewiele brakowało, a zmontowałbym swoją siatkę bez udziału Dietera. Na szczęście zmieniłem zamiar. Dieter okazał się wspaniałym agentem.

Nie powściągał swojej ekstrawagancji, ale wykorzystywał ją umiejętnie jako swego rodzaju podwójną osłonę. Kalectwo wykluczało go ze służby wojskowej, więc znalazł sobie pracę na kolei.

Błyskawicznie awansował na odpowiedzialne stanowisko i mógł przekazywać mnóstwo ważnych informacji. Szczegóły dotyczące transportów żołnierzy i amunicji, ich cel przeznaczenia, daty przejazdów. Później składał raporty o skuteczności naszych bombardowań, wskazywał najważniejsze cele. Był świetnym organizatorem i chyba to go uratowało. Na kolei spisywał się doskonale; uznano go

za niezastąpionego, stał się nieomal nietykalny. Dali mu nawet cywilne odznaczenie za zasługi, a gestapo „zgubiło” jego teczkę.

Dieter miał taką czysto faustowską teorię: sama myśl jest pozbawiona wartości, trzeba więc, żeby się zrealizowała. Zwykł mawiać, że największy błąd, jaki kiedykolwiek popełnił człowiek, to dokonanie rozdziału między myślą a ciałem. Nie ma rozkazu, jeśli nikt go nie wykona. Często cytował Kleista: „Gdyby oczy wszystkich ludzi były z zielonego szkła i wszystko, co wydaje się białe, stałoby się zielone, to kto by to rozpoznał?”

Jak powiedziałem, Dieter był wspaniałym agentem. Czasami nawet tak planował transporty, żeby ich przejazd przypadał na noc dogodną do nalotów. Miał własne metody i sztuczki - urodzony geniusz szpiegostwa. Nadzieja, że to potrwa dłużej, wydawała się absurdem, ale nasze bombardowania bywały tak skuteczne, iż nikt nie przypisywał ich zdradzie pojedynczego człowieka - zwłaszcza tak otwartego jak Dieter.

Dieter wiele podróżował - miał specjalną przepustkę, dzięki której mógł sobie na to pozwolić. Kontaktowanie się z nim było więc dziecinnie proste. Czasami spotykaliśmy się w jakiejś kawiarni, a czasem zabierał mnie do samochodu z ministerstwa i wiozł kilkadziesiąt kilometrów autostradą, jakby podwoził mnie dokądś. Ale najczęściej jeździliśmy tym samym pociągiem i wymienialiśmy tecki w korytarzu lub szliśmy do paczarni i wymienialiśmy się numerkami z szatni. Rzadko dawał mi raporty, na ogół przekazywał kopie rozkazów transportowych. sekretarka sporządzała ich całe mnóstwo - polecił jej, żeby założyła specjalny segregator, którego zawartość co trzy miesiące przenośli do swojej tecki.

W czterdziestym trzecim zostałem odwołany. Moja przykrywka była już bardzo cienka i robiło się gorąco. - Przerwał i wziął papierosa i pudełka Guilla. - Dieter był moim najlepszym agentem, ale nie jedyny. Miałem mnóstwo problemów z ich prowadzeniem. Kiedy wojna się skończyła, próbowałem sprawdzić, co się stało z Dieterem i całą resztą. Niektórzy zostali przesiedleni do Australii i Kanady, a inni wrócili do tego, co zostało z ich rodzinnych miast. Myślę, że Dieter się wahał. W Dreźnie byli Rosjanie, mógł więc mieć wątpliwości. Ale pojechał tam - musiał to zrobić ze względu na matkę. Poza tym nienawidził Amerykanów, no i był socjalistą.

Później dowiedziałem się, że zrobił tam karierę. Dzięki doświadczeniu administracyjnemu, jakie zdobył podczas wojny, objął ważny urząd państwowy w nowej republice. Myślę, że reputacja buntownika i cierpienia jego rodziny ułatwiły mu kolejne awanse. Musi mu się niezłe powodzić. Dlaczego tak sądzisz? - zapytał Mendel.

Jeszcze miesiąc temu był u nas. Stał na czele Misji ds. Stali.

To nie wszystko - dodał Guillam i zwrócił się do Mendla: - Oszczędziłem ci następnej porannej wizyty w Weybridge i zadzwoniłem do Elisabeth Pidgeon. Pokazałem jej zdjęcie młodego dyplomaty o nazwisku Mundt. Natychmiast rozpoznała go jako człowieka, który zabrał teczkę na nuty Elsy Fennan. Czy to nie wesoła nowina? Ale...

Wiem, o co chcesz zapytać, spryciarzu. Chciałbyś wiedzieć, czy George też go rozpoznał. Cóż, rozpoznał go. To ten sam typ, który usiłował go zwabić do jego własnego domu na Bywater Street. Mendel jechał do Mitcham. Znowu padało i było zimno. Smiley, śmiertelnie zmęczony, opatulił się płaszczem i patrzył, jak za oknem przewija się nocny Londyn. Zawsze uwielbiał podróże. Nawet teraz, gdyby miał wybór, przejechałby przez Francję pociągiem, zamiast polecieć samolotem. Kochał magiczne odgłosy nocnej jazdy przez Europę, kakofoniczne dzwonki i francuskie głosy nagle budzące go z angielskich snów. Ann też to uwielbiała i dwa razy podróżowali i dem, dzieląc wątpliwe radości niewygodnej jazdy. Kiedy dotarli na miejsce, Smiley od razu poszedł do łóżka, a Me del zrobił herbatę. Wypili ją w sypialni Smileya.

—Co dalej? - zapytał Mendel.

—Mógłbym pojechać jutro do Wailiston.

—Co chcesz tam zrobić?

—Spotkać się z Elszą Fennan.

—Nie powinieneś jechać sam. Pojadę z tobą. Będę czekał w samochodzie, kiedy będziesz z nią rozmawiał. To-Żydówka, prawda?

Smiiey przytaknął.

—Mój ojciec był Żydem. Ale nigdy nie miało to dla niego wielkiego znaczenia.

Sen na sprzedaż

Otworzyła drzwi i przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

Mógł mnie pan zawiadomić, że pan przyjedzie - powiedziała. Pomyślałem, że bezpieczniej będzie tego nie robić. Znowu milczała przez długą chwilę. Wreszcie powiedziała:

Nie wiem o co panu chodzi.

Mogę wejść? — zapytał Smiley. - Nie mamy wiele czasu. Wyglądała na starą i zmęczoną już nie była taka prężna. Zaprowadziła go do salonu i z wyrazem rezygnacji wskazała krzesło. Smiley poczęstował ją papierosem i sam wziął jednego. Stała przy oknie. Patrzył na jej szybki oddech, rozgorączkowane spojrzenie; zdał sobie sprawę, że jest na granicy załamania. Pani musi być straszliwie samotna - powiedział. - Nikt nie jest w stanie wytrzymać tego na dłuższą metę. To wymaga odwagi, a trudno być odważnym, gdy jest się samotnym. Oni tego nie rozumieją prawda? Nie wiedzą, ile to kosztuje - te ohydne kłamstwa i oszustwa, to odcięcie się od zwyczajnych ludzi. Myślą że pani może funkcjonować na ich paliwie - wymachiwaniu flagą i muzyce. Ale pani potrzebuje innego paliwa, kiedy pani jest samą prawdą? Musi pani nienawidzić, nienawidzić przez cały czas, a to wymaga siły. A to, co musi pani kochać jest tak odległe, tak niejasne, kiedy nie jest się częścią tego - mówił łagodnym tonem. Dla Elsy Fennan musiał to być głos, za którym od dawna tęskniła, głos nie do odparcia, oferujący jej siłę, pocieszenie, współczucie i bezpieczeństwo. Powoli odsunęła się od okna, a jej prawa ręka, przy ciśnięta do parapetu, zaczęła przesuwac się po powierzchni, wreszcie opadła wzdłuż ciała w geście uległości. Wpatrywała się w niego z wy. razem całkowitej zależności, jakby patrzyła w oczy kochanka. Już wkrótce, pomyślał, już wkrótce się załamiesz.

—Powiedziałem, że nie mamy dużo czasu. Rozumie pani, o co mi chodzi? Złożyła ręce na podołku i patrzyła na nie. Wyglądała, jakby nie usłyszała pytania.

—Kiedy zostawiłem panią tamtego ranka, miesiąc temu, pojechałem do mojego domu w Londynie. Jakiś człowiek próbował mnie zabić. Prawie mu się udało — uderzył mnie w głowę trzy czy cztery razy. Dopiero co wyszedłem ze szpitala. Miałem szczęście. Potem był mechanik samochodowy, od którego tamten człowiek pożyczał samochód. Policja rzeczna niedawno wydobyla jego ciało z Tamizy. Żadnych śladów przemocy - był po prostu przesiąknięty whisky. Nie mogą tego zrozumieć, bo od lat nie zbliżał się do rzeki. Ale przecież mamy do czynienia z kompetentnym człowiekiem, prawda? Wyszkolonym zabójcą. Wygląda na to, że stara się usunąć każdego, kto mógłby go połączyć z Samuelem Fennanem. Albo z jego żoną. I jest jeszcze ta młoda blondynka w teatrze...

—O czym pan mówi? - wyszeptala. - Co pan sugeruje?

Smiley poczuł nagłą ochotę, by ją zranić, złamać resztki jej woli.

—Czego oczekiwaliście? - zapytał. - Czy myślała pani, że można igrać z taką potęgą jak oni - trochę dać, a czasem nic nie dać? Wierzyła pani, że może powstrzymać ten taniec - kontrolować siłę, którą pani im daje? Co za sen pani śni, pani Fennan, że tak mało w nim jest realności?

Ukryła twarz w dłoniach, a łzy skapywały jej między palcami.

—Myślałam tylko o nim. On śnił sen, tak... wielki sen. - Zniosła się szlochem, a Smiley, na poły triumfalnie, na poły ze wstydem czekał, aż znów się odezwie. Wreszcie uniosła głowę i spojrzala na niego. Łzy spływały jej po policzkach. - Niech pan na mnie popatrzy - powiedziała. - Jaki sen mi zostawili? Śniłam o długich blond włosach, a oni ogolili mi głowę. Marzyłam o pięknym ciecie, a oni wycięczyli je głodem. Zobaczyłam, jacy są ludzie, więc jak mogę uwierzyć w człowieka?

Mówiłam mu to, mówiłam tysiące razy. Przegadaliśmy całe noce. Ale on musiał mieć swoje sny, wierzył, że jeśli można zbudować nowy świat, to Samuel Fennan będzie budowniczym. Powiedziałam mu: „Słuchaj, dali ci wszystko, co masz, dom, pieniądze i zaufanie. Dlaczego im to robisz?” A on mi odpowiedział: „Robię to dla nich. Jestem chirurgiem. ^wnego dnia to zrozumieją”. Był dzieckiem, panie Smiley, prowadzili go za rączkę jak małe dziecko.

Milczał, nie ośmielił się zadać żadnego pytania.

Pięć lat temu spotkał tego Dietera. W schronisku narciarskim niedaleko Garmisch. Freitag powiedział nam później, że Dieter to zaplatał - i tak nie mógł jeździć na nartach ze względu na nogi. Wtedy «je nie wydawało się rzeczywiste. Freitag to nie było prawdziwe na-2wisko. Fennan nazwał go Freitagiem na wzór Piętaszka z Robinsona Crusoe. Dieterowi wydało się to bardzo śmieszne i później już nigdy nje mówiliśmy o Dieterze, ale zawsze o Robinsonie i Piętaszku. - Przełała i spojrzała na niego z cieniem uśmiechu. - Przepraszam, mówię dość chaotycznie.

_ Rozumiem - powiedział Smiley.

Ta dziewczyna - co pan powiedział o tej dziewczynie?

Żyje. Niech się pani nie martwi. Proszę kontynuować.

Fennan pana polubił, naprawdę. Freitag próbował pana zabić... dlaczego?

—Bo wróciłem i zapytałem panią o ten telefon o ósmej trzydzieści. Pani powiedziała o tym Freitagowi, prawda?

—O, Boże - szepnęła.

Zadzwoiła pani do niego, prawda? Gdy tylko wyszedłem?

—Tak, tak. Byłam przerażona. Chciałam go ostrzec, jego i Dietera. Wiedziałam, że pan wszystko odkryje. Może nie od razu, ale prędzej czy później wszystko pan odkryje. Dlaczego nie zostawią mnie w spokoju? Bali się mnie, bo wiedzieli, że chciałam tylko Samuela, chciałam, żeby był bezpieczny, chciałam go kochać i dbać o niego.

Smiley poczuł pulsowanie w głowie.

Zatem natychmiast po moim wyjściu zadzwoniła pani do Freita-ga I powiedział. - Najpierw próbowała się pani dodzwonić na numer Primrose i nie mogła się pani połączyć.

Tak - potwierdziła. - Tak, to prawda. Ale oba numery są na Primrose. Więc zadzwoniła pani pod drugi numer, alternatywny...

Znów podeszła do okna, nagle wyczerpana i bezwładna.

—Tak, Freitag był świetny, jeśli chodzi o plany alternatywne.

—Jaki był ten drugi numer? - dopytywał się Smiley. Przyglądał się jej niecierpliwie, gdy wyglądała przez okno na ciemny ogród.

Dlaczego pan chce wiedzieć?

Podszedł i stanął obok niej.

— Wspomniałem, że z dziewczyną wszystko w porządku - powiedział. - My oboje też żyjemy. Ale niech pani nie sądzi, że tak będzie wiecznie. Odwróciła się do niego ze strachem w oczach i kiwnęła głową. Smi-ley wziął ją za ramię i poprowadził do krzesła. Usiadła machinalnie, z obojętnością przypominającą początki choroby psychicznej.

—Ten drugi numer to było 9747.

—Jakiś adres - zna pani adres?

—Nie, bez adresu - odparła. - Tylko telefon. Bez adresu — powtórzyła. Smiley popatrzył na nią i zastanowił się. Nagle przypomniał sobie o zdolnościach Dietera do podtrzymywania kontaktu.

—Freitag nie spotkał się z panią tej nocy, gdy zginął Fennan? Nie przyszedł do teatru?

—Nie.

—To był pierwszy raz, kiedy zawiódł. Spanikowała pani i wyszła wcześniej.

—Nie... tak, tak, spanikowałam.

—Nie! Wyszła pani wcześniej, bo tak było ustalone. Dlaczego wyszła pani wcześniej? Dlaczego? ,
Ukryła twarz w dłoniach.

—Czy pani nadal myśli, że może kontrolować sytuację? - Smiley prawie krzyczał. - Freitag zabije panią, zabije dziewczynę, będzie zabijał, zabijał, zabijał. Kogo pani chce chronić, dziewczynę czy mordercę? Zaszlochała, ale nic nie powiedziała. Smiley ukucnął obok niej.

—Powie pani, dlaczego pani wyszła wcześniej, mogę? - Nadal mówił podniesionym głosem. - Powiem pani, co myślę. Trzeba było złapać ostatnią pocztę odchodzącą tego wieczora z Weybridge. Nie przyszedł, nie wymieniła pani z nim numerków do szatni, więc postąpiła pani zgodnie z instrukcją. Wysłała mu pani swój numer i pani ma ten adres, niezapisany, ale zapamiętany, zapamiętany raz na zawsze. „Jeśli będzie sytuacja kryzysowa, jeśli nie przyjdę, oto jest adres”; Czy tak powiedział? Adres, którego nie wolno używać ani o nim mówić, adres zapomniany i zapamiętany raz na zawsze? Mam rację? Niech pani powie!

Wstała, podeszła do biurka i wyjęła kawałek papieru i ołówek. Łzy nadal spływały po jej twarzy. Powoli zapisała adres. Ręka jej omdlewała, zatrzymywała się między słowami.

Wziął od niej kartkę, starannie złożył na pół i włożył do portfela. Teraz zrobi jej herbatę.

Wyglądała jak dziecko wyciągnięte z głębokiej wody. Siedziała na skraju kanapy, w drobnych dłoniach mocno trzymała filiżankę, przyciskała ją do ciała. Ramiona miała przygarbione, stopy mocno ściśnięte, Smiley patrząc na nią, pomyślał, że zniszczył coś, czego nie powinien nigdy dotykać, tak było kruche. Czuł się jak obsceniczny, szorstki cham. Herbata, którą przyrządził, nie była rekompensatą za niezgrabność w obejściu. Nie wiedział, co powiedzieć. Po chwili ona zaczęła mówić:

Lubił pana. Naprawdę pana lubił... Powiedział, że jest pan bystrym człowiekiem. Samuel rzadko nazywał kogoś bystrym. - Powoli pokręciła głową. Być może to wspomnienie sprawiło, że uśmiechnęła się. I Zwykł mawiać, że na świecie są dwie siły, pozytywna i negatywna. „Co więc mam robić? - pytał mnie. - Pozwolić, żeby zrujnowali plon, bo dają mi chleb? Twórczość, postęp, siła, cała przyszłość ludzkości czeka u ich drzwi: czy mam tego nie wpuścić?” A ja mu powiedziałam: „Może ludzie są szczęśliwi i bez tego?” Ale wie pan, on nie myślał o ludziach w ten sposób. Nie mogłam go powstrzymać. Wie pan, co było w nim najdziwniejsze? Przy całym tym myśleniu i gadaniu już dawno temu postanowił, co będzie robił. Cała reszta była poezją. Był nieskoordynowany, to zwykłam mu powtarzać...

...ale mimo wszystko pomagała mu pani - powiedział Smiley.

—Tak, pomagałam mu. Chciał pomocy, więc mu ją dawałam. Był moim życiem. Rozumiem.

—To był błąd. Był małym chłopcem. Zapominał o ważnych sprawach zupełnie jak dziecko. I taki był próżny. Zdecydował, że będzie to robić, i tak źle mu to wychodziło. Nie myślał o tym tak jak pan albo tak jak ja. On po prostu nie myślał o tym w ten sposób. To była jego praca i to wszystko. Zaczęło się bardzo prosto. Pewnego wieczoru przyniósł do domu telegram. Pokazał mi go i powiedział: „Myślę, że Dieter powinien to zobaczyć”. Nie mogłam uwierzyć, że był szpiegiem. Bo przecież był, prawda? Stopniowo zdałam sobie z tego sprawę. Zaczęli prosić o szczególne sprawy. W teczce na nuty, którą przynosiłam od Piętaszka, zaczęły się pojawiać rozkazy, a czasem pieniądze. Powiedziałam do niego: „Popatrz tylko, co oni ci przysyłają - czy o to ci chodzi?” Nie wiedzieliśmy, co robić z tymi pieniędzmi. W końcu wydawaliśmy je, nie wiem dlaczego. Tamtej zimy, kiedy mu o tym powiedziałam, Dieter był bardzo zły.

—Która to była zima?

—Druga zima z Dieterem — w pięćdziesiątym szóstym w Muerren. Spotkaliśmy go pierwszego stycznia pięćdziesiątego piątego. Wtedy się to zaczęło. I wie pan? Węgry nie miały znaczenia dla Samuela, żadnego. Wtedy Dieter bał się o niego. Wiem, bo powiedział mi to Piętaszek. Kiedy Fennan w listopadzie dał mi rzeczy, które miałam zanieść do Weybridge. mało nie oszalałam z

wściekłości. Krzyczałam na niego: „Nie widzisz, że to jest to samo? Te same działa, te same dzieci umierające na ulicy? Tylko sen się zmienił, krew ma taki sam kolor. Czy tego chcesz?” Zapytałam go: „Czy dla Niemców też byś to zrobił?”* A on po prostu powiedział: „Nie. Elso. to jest coś innego”. I nadal nosiłam teczkę na nuty. Rozumie pan?

—Nie wiem. Po prostu nie wiem. Ale myślę, że tak.

—Był wszystkim, co miałam. Był moim życiem. Stopniowo stałam się częścią tego. a wtedy było już za późno, żeby to zatrzymać... A dalej to już pan wie - wyszeptala, i Zdarzało się, że byłam zadowolona z tego, co robił Samuel. Gdy patrzyłam na nowe Niemcy, wróciły nazwy, których baliśmy się jako dzieci. Wróciła straszliwa дума. Maszerowali w lym starych marszów. Fennan też tak to odbierał.

Byliśmy kiedyś w obozie na przedmieściach Drezna, naszego rodzinnego miasta. Ojciec był sparaliżowany. Tęsknił za tytoniem bardziej niż za czymkolwiek innym, a ja skręcałam mu papierosy z wszelkiego śmiecia, które można było znaleźć w obozie. Pewnego dnia strażnik zobaczył, jak ojciec pali, i zaczął się śmiać. Przyszło jeszcze paru i też się roześmieli. Ojciec trzymał papierosa w sparaliżowanej ręce, a papieros parzył mu palce. Rozumie pan, on o tym nie wiedział. Kiedy znów dali Niemcom karabiny, dali im pieniądze i mundury, zdarzały się chwile, krótkie chwile, że byłam zadowolona z tego, co robi Samuel. Jesteśmy Żydami, więc...

Tak, rozumiem i powiedział Smiley. - Też to widziałem.

Dieter powiedział, że pan widział.

Dieter tak powiedział?

—Tak, Piętaszkowi. Powiedział Piętaszkowi, że pan jest bardzo sprytny. Że kiedyś, przed wojną, wywiódł go pan w pole, i dopiero po latach on to zrozumiał. Tyle powiedział Piętaszkowi.

Powiedział też, że nie spotkał lepszego od pana.

A kiedy Piętaszek powtórzył to pani?

Długo patrzyła na niego w milczeniu. Jeszcze nie widział tak zrozpaczonej twarzy. Przypomniał sobie, co powiedziała mu wcześniej:

“Dzieci mojego smutku są martwe”. Teraz to rozumiał i usłyszał w jej głosie-gdy wreszcie się odezwała:

Czy to nie oczywiste? Tego wieczoru, gdy zamordował Samuela. To świetny kawał, panie Smiley. W chwili, gdy Samuel mógł tak wiele dla nich zrobić - nie tylko przekazać jakiś dokument od czasu do czasu - zniszczył ich własny strach, zamienił ich w zwierzęta i zmusił do zabijania. Samuel zwykł mawiać: „Zwycięzą, bo wiedzą, a inni zginą, bo nie wiedzą. Człowiek, który pracuje dla snu, będzie pracować wiecznie”. Tak właśnie mówił. Ale ja wiedziałam, jaki jest ten ich sen. Wiedziałam że nas zniszczy. Co bowiem nie było niszczycielskie? Nawet sen o Chrystusie.

—A więc to Dieter widział mnie w parku z Fennanem?

—Tak.

—I pomyślał...

—Tak. Pomyślał, że Samuel go zdradził. Powiedział Piętaszkowi żeby zabił Samuela.

_ A ten anonimowy list?

_ Nie wiem. Nie wiem, kto go napisał. Ktoś, kto znał Samuela, kto go obserwował. Może ktoś z biura albo z Oksfordu, z partii. Nie wiem. Samuel też nie wiedział.

—Ale list pożegnalny...

Popatrzyła na niego i twarz się jej skurczyła. Do oczu znów napłynęły łzy-Pochyliła głowę.

—Ja go napisałam. Piętaszek przyniósł papier, a ja napisałam. Podpis już tam był. Podpis Samuela.

Smiley usiadł obok niej na kanapie i wziął ją za rękę. Odwróciła się do niego i zaczęła krzyczeć:

—Niech pan zabierze te ręce! Myśli pan, że jestem pańska, bo nie należę do nich? Niech pan stąd idzie! Niech pan stąd idzie i zabije Piętaszka i Dietera, niech pan podtrzyma tę grę, panie Smiley.

Ale niech pan nie myśli, że jestem po pańskiej stronie, słyszy mnie pan? Bo ja jestem tułającą się Żydówką, człowiekiem znikąd, polem bitewnym dla pańskich żołnierzyków. Może mnie pan kopać i deptać, rozumie pan, ale nigdy, nigdy nie wolno mnie panu dotykać i mówić, że jest panu przykro, słyszy pan? Teraz niech pan stąd idzie! Niech pan idzie i zabija. Siedziała i trzęsła się jak z zimna. Kiedy doszedł do drzwi, odwrócił się. W jej oczach nie było łez. Mendel czekał na niego w samochodzie.

Nieudolność Samuela Fennana

Dojechali do Mitchum w porze obiadowej. Peter Guillam czekał na nich cierpliwie w swoim wozie.

—No, rebiata, co tam nowego?

Smiley wręczył mu złożoną kartkę z portfela.

—Mieli też numer alarmowy - Primrose 9747. Sprawdź to, ale nie wiążę z tym wielkich nadziei.

Peter zniknął w holu i zaczął dzwonić. Mendel zakrzętnął się w kuchni i po dziesięciu minutach przyniósł piwo, chleb i ser na tacy. Guillam wrócił i usiadł bez słowa. Wyglądał na zaniepokojonego.

—Cóż - odezwał się wreszcie - co ona ci powiedziała, George. Smiley skończył zdawać sprawę z porannego przesłuchania.

—Rozumiem - powiedział Guillam. - To byłoby to, George. Jeszcze dziś będę musiał wszystko spisać i natychmiast pójść do Mastona. Łapanie martwych szpiegów to doprawdy żalosne zajęcie.

—Do czego miał dostęp w ministerstwie? - zapytał Smiley.

—Ostatnio do bardzo wielu spraw. Dlatego uznali, że należałoby go przesłuchać.

—Jakie to sprawy?

—Jeszcze nie wiem. Parę miesięcy temu był w wydziale Azji, ale dostał nowe stanowisko.

—Ameryka, o ile pamiętam - powiedział Smiley. - Peter?

Tak—

Czy zastanawiałeś się, dlaczego tak bardzo im zależało na śmierci Fennana? Może naprawdę uważali, że ich zdradził, ale dlaczego go? Nic na tym nie zyskiwali. Nie, chyba nic nie zyskiwali. To wymaga wyjaśnienia. Pomyśl. Załóżmy, że Fuchs albo Maclean zdradzili ich. Załóżmy, że obawiali się reakcji łańcuchowej - nie tutaj, ale w Ameryce, albo na całym świecie. Czy nie zabiliby go, żeby temu zapobiec? Jest tyle rzeczy, których nigdy nie będziemy wiedzieć. Jak ten telefon o ósmej trzydzieści? - powiedział Smiley.

Właśnie. - Wstał. - Siedź tutaj i czekaj, aż do ciebie zadzwonię, dobrze? Maston na pewno będzie chciał się z tobą widzieć. Zaczną biegać po korytarzach, jak im przyniosę te nowiny. A ja przywdzieję specjalny uśmiech, którego używam, kiedy przynoszę złe wieści.

Mendel odprowadził go do drzwi i wrócił do salonu, powinieneś się przyczaić - powiedział. - Narobiłeś niezłego bałaganu.

Albo Mundt tu jest albo go nie ma, myślał Smiley, leżąc w płaszczu na łóżku, z rękami złączonymi pod głową. Jeśli go nie ma, sprawa skończona. Maston zdecyduje, co zrobić z Elszą Fennan, a pewnie nic nie zrobi. Jeśli Mundt nadal tu jest, to dla jednego z trzech powodów:

A - bo Dieter powiedział mu, żeby został i poczekał, aż wszystko się uspokoi;

B - bo wokół niego śmierdzi i boi się wracać;

C - bo nie dokończył dzieła.

A jest nieprawdopodobne, Dieter nie zwykł podejmować niepotrzebnego ryzyka. Zresztą to wariacki pomysł.

B - jest nieprawdopodobne, bo jeśli Mundt obawia się Dietera, to obawia się także oskarżenia o morderstwo w Anglii. Najmądrzej by zrobił, gdyby wyjechał do innego kraju.

C - jest bardziej prawdopodobne. Gdybym był na miejscu Dietera, zamartwiałbym się na śmierć o Elbę Fennan. Ta Pidgeon jest nieistotna - bez Elsy nie stanowi poważnego niebezpieczeństwa. Nie należała do spisku i nie ma szczególnego powodu, żeby zapamiętała właśnie przyjaciela Elsy z teatru. Nie, to Elsa jest prawdziwym zagrożeniem.

Istniała jeszcze jedna możliwość, ale Smiley nie był w stanie oszacować jej prawdopodobieństwa: możliwość, że Dieter prowadzi innych agentów za pośrednictwem Mundta.

Nie... to nie ma sensu, to nie trzyma się kupy. Postanowił jeszcze raz przemyśleć sprawę.

Co wiemy? Usiadł, żeby rozejrzeć się za ołówkiem i papierem, i natychmiast zaczęło mu pulsować w głowie. Wstał z trudem i wyjął ołówek z wewnętrznej kieszeni marynarki. W teczce miał notatnik.

Wrócił do łóżka, ułożył odpowiednio dwie poduszki, wziął cztery aspi-tyny z buteleczki na stoliku i oparł się o poduszki wyciągając nogi przed siebie. Zaczął pisać. Najpierw starannie wykaligrafował nagłówek i podkreślił go.

CO WIEMY?

Potem zaczął krok po kroku odtwarzać - tak beznamyślnie, jak było to możliwe - kolejne wydarzenia: W poniedziałek drugiego stycznia Dieter Frey zobaczył mnie w parku rozmawiającego z jego agentem i doszedł do wniosku...

Właśnie, do jakiego wniosku doszedł Dieter? Że Fennan już coś powiedział, czy żę miał zamiar to zrobić? Że był moim agentem?

...i doszedł do wniosku, że Fennan jest niebezpieczny z przyczyn nadal nam nieznanych. Następnego wieczoru, w pierwszy wtorek miesiąca, Elsa Fennan zabrała raporty męża w teczce na nuty do teatru w Weybridge, jak było uzgodnione, i zostawiła teczkę w szatni. Mundt miał przynieść własną teczkę i zrobić to samo. Podczas przedstawienia Elsa i Mundt mieli wymienić numerki. Mundt się nie pojawił. W związku z tym Elsa zastosowała procedurę alarmową i wysłała numerek pocztą pod umówiony adres. Wysłała z teatru wcześniej, żeby zdążyć przed zabraniem ostatniej poczty z Weybridge. Potem pojechała do domu, gdzie spotkała Mundta, który uprzednio zamordował Fennana, prawdopodobnie na rozkaz Dietera. Strzelił do niego z bliska, gdy tylko spotkał się z nim w holu. Znając Dietera, przypuszczam, że dużo wcześniej powziął środki bezpieczeństwa i zaopatrzył się w kilka kartek papieru z podpisami - autentycznymi albo sfalszowanymi - Sama Fennana na wypadek, gdyby trzeba było go skompromitować albo szantażować.

Zakładając, że to prawda. Mundt przyniósł ze sobą kartkę (f)dp,sem w ce^u napisania na niej listu pożegnalnego na maszynie należącej do Fennana. Dopiero po rozmowie z Elbą, Mundt zdał sobie sprawę, że Dieter źle zinterpretował spotkanie Fennana ze Smileyem - Uznał jednak, że Elsa będzie chciała chronić reputację swego męża - nie wspominając o jej współudziale. Dzięki temu będzie bezpieczny. Zmusił Elbę, żeby napisała list, może dla tego że nie ufał swojej angielszczyźnie (Uwaga: Ale kto, do diabła, napisał pierwszy list - donos?) później. Zapewne, zażądał teczki na nuty, której nie zdołał odebrać, | &sa Powiedziała mu, że postąpiła według instrukcji: wysłała numerek z szatni pod adres w Hampstead, a samą teczkę zostawiła w teatrze. Reakcja Mundta była znacząca: zmusił Elbę, żeby zatelefonowała do teatru i załatwiła, by mógł odebrać teczkę jeszcze tego wieczoru, po drodze do Londynu. Zatem albo adres, pod który wysłano numerek, nie był już ważny, albo Mundt chciał wrócić do domu wczesnym rankiem następnego dnia i nie miałby czasu, żeby odebrać numerek, a potem teczkę.

Smiley odwiedził Walliston wcześniej rano w środę czwartego stycznia i podczas pierwszego przesłuchania odebrał telefon z centrali o ósmej trzydziści. Telefon ten został zamówiony (nie ma co do tego wątpliwości) przez Fennana o siódmej pięćdziesiąt pięć poprzedniego wieczoru.

DLACZEGO?

Później, tego samego ranka, Smiley wrócił do Elsy Fennan, żeby zapytać o ten telefon, ona zaś (według jej własnych słów) wiedziała, że to go „zaniepokoi” (bez wątplenia pochlebna charakterystyka moich zdolności dokonana przez Mundta odniosła tu efekt). Po opowiedzeniu Smileyowi historyjki o swojej złej pamięci wpadła w panikę i zadzwoniła do Mundta.

Mundt, dysponujący prawdopodobnie fotografią albo opisem, postanawia zlikwidować Smileya (z polecenia Dietera?) i później tego samego dnia prawie mu się to udaje. (Uwaga: Mundt zwrócił samochód Scarrowi dopiero czwartego wieczorem. Nie musi to oznaczać, że nie planował odlecieć wcześniej tego dnia. Gdyby chciał odlecieć rano, mógł z powodzeniem zostawić samochód u Scarra wcześniej i pojechać na lotnisko autobusem). Wydaje się całkiem prawdopodobne, że Mundt zmienił zamiar po telefonie od Elsy. Nie jest jednak jasne, czy zmienił je z powodu tego telefonu.

Czy Mundta ogarnęła panika po rozmowie z Elsą? I czy ta panika sprawiła, że zamordował Adama Scarra, zastanawiał się Smiley.

W holu dzwonił telefon...

—George, tu Peter. Ten adres i numer telefonu to ślepa uliczka

—jak to?

—Numer telefonu i adres prowadzą w to samo miejsce “- umeblowany apartament w Highgate wynajęty przez pilota z Luftewojska. Zapłacił za dwa miesiące z góry piątego stycznia i od tamtej pory się nie pojawił

—Cholera.

—Gospodyni zapamiętała Mundta całkiem dobrze. Miły, grzeczny dżentelmen, jak na Niemca, bardzo szczodry. Często sypiał na kanapie.

—O Boże.

—Przeszukałem pokój. W rogu stoi biurko. Wszystkie szuflady zostały opróżnione, poza jedną, w której był numer do szatni i zastanawiam się, skąd pochodzi... Cóż, jeśli chcesz się pośmiać, zapraszam do naszego cyrku. Cały Olimp wrze od aktywności. A, przy okazji...

—Tak?

—Powęszyłem wokół mieszkania Dietera. Znów nie. Wyjechał czwartego stycznia. Nie powiadomił mleczarza.

—A co z jego pocztą?

—Nie dostawał żadnej, nie licząc rachunków. Przyjrzałem się też gniazdku towarzysza Mundta: dwa pokoje nad Misją ds. Stali. Meble wywędrowały wraz z całym dobytkiem. Przykro mi.

—Rozumiem.

—Ale znalazłem coś dziwnego, George. Pamiętasz, jak mówiłem, że przejrzę osobiste rzeczy Fennana — portfel, notatnik i tak dalej?

—Pamiętam.

—Zrobiłem to. W jego notatniku, w części na adresy, jest nazwisko Dietera wraz z numerem telefonu misji. Co za tupet.

—To nie tupet. To szaleństwo. Dobry Boże.

—A pod datą czwartego stycznia jest wpis: „Smiley C.A. telefon ósma trzydzieści”. Wpis z trzeciego stycznia brzmi: „Prosić o budzenie w środę rano”. Oto twój tajemniczy telefon.

—Nadal nie bardzo rozumiem.

—Wysłałem Feliksa Tavemera do ministerstwa, żeby tam trochę pomyszkował. Przejrzał repertoria archiwalne za ostatnie dwa lata. Udało mu się ustalić, jakie teczki poszły do sekcji Fennana. Gdy sekcji szczególnie zależało na jakiejś teczce, przysyłała zamówienia zachowane do tej pory.

No i?

—Felix stwierdził, że trzy czy cztery teczki wydawano Fennanowi w piątki wieczorem, a wracali w poniedziałek rano. Czyli zabierał je do domu na weekend.

—O, mój Boże!

Tyle że przez ostatnie sześć miesięcy, odkąd objął to stanowisko, brał do domu materiały nieujawnione, które nikogo by nie zainteresowały- ...

Przecież w ciągu ostatnich miesięcy zaczął się zajmować tajnymi teczkami zdziwił się Smiley. - Mógł zabrać do domu to, co chciał.

Wiem, ale tego nie robił. Można by przypuszczać, że działał tak celowo. Zabierał do domu materiały jawne, słabo związane z jego pracą. Czasem nawet teczki dotyczące tematów, którymi jego sekcja w ogóle się nie zajmowała.

—I nie były utajnione.

—Tak - bez wartości dla wywiadu.

^ A wcześniej, zanim objął nowe stanowisko? Jakie materiały zabierał wtedy do domu?

Teczki, którymi się zajmował podczas pracy, polityka i tak dalej.

—Tajne?

—Niektóre tak, inne nie. Jak mu podchodziło.

Ale nic niespodziewanego - żadnych materiałów, które nie powinny go interesować?

Zgadza się. Okazji miał w bród, ale nie korzystał z nich. Fiołki w głowie.

—Pewnie tak, skoro zapisał w notatniku nazwisko oficera prowadzącego.

—Myśl o tym, co chcesz: wziął sobie wolne na czwartego stycznia

—na dzień po swojej śmierci. Raczej niezwykła sprawa - był pracu-siem, jak mi mówili.

—Co Maston robi z tym wszystkim? - zapytał Smiley po chwili milczenia.

—Przegląda teczki i wzywa mnie co dwie minuty, żeby zadawać głupie pytania. Chyba poczuł się samotny w obliczu nagich faktów.

—Upora się z nimi, nie martw się.

—Już mówi, że cała sprawa przeciwko Fennanowi wyrosła na bazie zeznań neurotycznej kobiety.

—Dziękuję za telefon, Peter.

—Do widzenia, stary. Uważaj na głowę.

Smiley odłożył słuchawkę i zastanawiał się, gdzie może być Mendel. Na stole w holu leżała wieczorna gazeta. Zauważył tytuł na pierwszej stronie: „Linczowanie. Światowe organizacje żydowskie protestują”. Pod spodem był reportaż o zlinchowaniu żydowskiego sklepikarza w Dusseldorfie.

Otworzył drzwi do salonu. Mendla tam nie było. Dostrzegł go przez okno. Miał na głowie swój kapelusz ogrodnika i rąbał siekierą jak oszalały pień drzewa. Smiley przyglądał mu się przez chwilę, a potem poszedł na górę, żeby odpocząć. Gdy dotarł do szczytu schodów, telefon znów zaczął dzwonić.

—George, przepraszam, że znów cię niepokoję. To w sprawie Mundta.

—Tak?

—Wczoraj wieczorem poleciał liniami BEA do Berlina. Podróżował pod innym nazwiskiem, ale stewardesy rozpoznały go bez trudu. Pieskie szczęście, chłopie.

Smiley nacisnął dłońią widełki i zadzwonił do Walliston pod numer 2944. Długo nikt nie odbierał.

Wreszcie usłyszał głos Elsy Fennan:

—Halo... Halo... Halo?

Powoli odłożył słuchawkę. Żyła.

Dlaczego właśnie teraz? Dlaczego Mundt wybrał się do domu teraz, pięć tygodni po zamordowaniu Fennana, trzy tygodnie po zamordowaniu Scarra? Dlaczego wyeliminował mniejsze zagrożenie - Scarra - a zostawił nietkniętą Elsę Fennan, neurotyczną i zgorzkniałą, gotową w każdej chwili załamać się i opowiedzieć całą historię? Jak Dieter może ufać tej kobiecie? Czy nie zdaje sobie sprawy, że teraz, gdy i tak już nie ochroni dobrego imienia męża, może - czy to z chęci zemsty, czy z żalu - wyrzucić z

siebie całą prawdę? Oczywiście, pomiędzy zamordowaniem Fennana a zamordowaniem jego żony musiałoby upłynąć trochę czasu, ale jakie wydarzenie, jaka informacja, jakie niebezpieczeństwo sprawiły, że Mundt wyjechał ostatniej nocy? Bezwzględny i kunsztowny plan służący zachowaniu tajemnicy Fennana został odrzucony, zanim zrealizowano go do końca. Co takiego stało się wczoraj, o czym Mundt się dowiedział? A może czas odlotu został wybrany przypadkowo? Smiley w to nie wierzył. Jeśli Mundt został w Anglii po dwóch morderstwach i zamachu na Smileya, musiał mieć jakiś powód. Ważny powód. Co robił po zabiciu Scarra? Ukryty w jakimś samotnym pokoju, odcięty od światła i informacji. I dlaczego teraz poleciał do domu, tak nagle?

A Fennan - co to za szpieg, który wybiera dla swoich panów mało przydatne informacje, mając pod ręką prawdziwe klejnoty? Może zmieni zdanie? Osłabła jego motywacja? Dlaczego więc nie powiedział o tym żonie, dla której jego działania były koszmarem i która uradowałaby się jego nawróceniem? Wyglądało na to, że Fennan nie wybierał tajnych dokumentów - po prostu przynosił do domu jakiegokolwiek teczki. Utrata motywacji wyjaśniałaby to dziwne wezwanie do Marlowa i fakt, że Dieter był przekonany o zdradzie Fennana. Ale kto napisał anonimowy donos?

Nic nie miało sensu, nic. Sam Fennan - błyskotliwy i elokwentny - zwodził tak naturalnie, tak mistrzowsko. Smiley naprawdę go polubił, płacze więc ten kuty na cztery nogi oszust popełnił tak niewiarygodny błąd, wpisując do notatnika nazwisko Dietera, i wykazał się taką ignorancją w selekcji materiału wywiadowczego?

Smiley poszedł na górę, żeby spakować rzeczy, które Mendel zabrał dla niego z Bywater Street. Było już po wszystkim.

Stał na schodkach przed drzwiami, postawił teczkę i zaczął szukać kluczy. Gdy otwierał drzwi, przypomniał sobie, jak stał tu Mundt, patrząc na niego wyblakłymi, niebieskimi oczami. Dziwnie było myśleć o Mundcie jako o uczniu Dietera. Mundt działał z bezwzględnością wyszkolonego najemnika - wydajnego, nastawionego tylko na cel. W jego technice nie było nic oryginalnego: we wszystkim był cieniem swojego mistrza. Zupełnie jakby błyskotliwe sztuczki Dietera zostały wciśnięte do podręcznika, którego Mundt nauczył się na pamięć, dodając tylko szczyptę soli w postaci swojej brutalności.

Na wycieraczce leżała kupka listów. Smiley podniósł je, położył na stoliku w korytarzu i otworzył drzwi do mieszkania. Wydało mu się obce, zimne i pachnące stęchlizną. Gdy tak szedł od pokoju do pokoju po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak puste stało się jego życie.

Chciał zapalić gazowy kominek, ale nie znalazł zapalek. Usiadł w fotelu w salonie i przyglądał się książkom stojącym na półkach i pamiątkom, które przywiózł z podróży. Kiedy Ann go opuściła, zaczął od zacierania wszelkich śladów po niej. Pozbył się nawet jej książek. Ale stopniowo pozwolił, żeby kilka przedmiotów, które łączyły jego życie z jej życiem, ponownie zaznaczyło swoją obecność. Były to prezenty ślubne od bliskich przyjaciół - szkic Watteau od Petera Guillema i grupa dreźnieńska od Steed-Aspreya. Wstał z krzesła i podszedł do narożnego kredensu, na którym stała grupa. Uwielbiał podziwiać piękno tych figurek, maleńką rokokową kurtyzanę w pasterskim kostiumie, z rękami wyciągniętymi do jednego adorującego ją kochanka i twarzyczką obdarzającą spojrzeniem dru-jego. Czuł się nie na miejscu wobec tej kruchej perfekcji, tak jak czuł się wobec Ann, kiedy rozpoczął podbój, który zadziwił towarzystwo.

Te małe figurki przynosiły mu pocieszenie: było równie beznadziejne oczekiwać wierności od Ann, jak od tej małej pastereczki w szklanej szkatulce. Steed-Asprey kupił grupę w Dreźnie, przed wojną, była ozdobą kolekcji. Dał ją im, bo może pomyślał, że pewnego dnia Smileyowi potrzebna będzie prosta filozofia, którą ta grupa wyrażała.

Drezno: spośród wszystkich niemieckich miast Smiley najbardziej je lubił. Uwielbiał jego architekturę, dziwaczną mieszaninę średniowiecznych i fclascystycznych budynków, kopuły, wieże i iglice, pokryte śniegiem miedziane dachy błyszczące w gorącym słońcu. Jego nazwa oznacza jniasto

mieszkańców lasu”, tu właśnie Waclaw Węgierski obdarowywał utalentowanych minstrelów przywilejami. Smiley wspominał swój ostatni pobyt w Dreźnie, gdy odwiedził znajomego z uniwersytetu, profesora filologii, którego spotkał w Anglii. To podczas tej wizyty zobaczył Dietera Freya wlokącego się wokół więziennego podwórca. Nadal go widział, spokojnego, wysokiego i monstrualnie zmienionego przez ogoloną głowę, jakby za dużego na to małe więzienie.

Drezno było miejscem urodzenia Elsy. Przypomnił sobie, jak przeglądał jej teczkę osobową w ministerstwie: Elsa Freimann urodzona w 1917 w Dreźnie w Niemczech; rodzice Niemcy; w Dreźnie skończyła szkołę; więziona w latach 1938-1945. Próbował wyobrazić ją sobie w rodzinnym domu, w patrycjuszowskiej żydowskiej rodzinie dożywającej swoich dni wśród obelg i prześladowań. „Śniłam o długich blond włosach, a oni ogolili mi głowę”. Zrozumiał, dlaczego ufarbowała sobie włosy. Mogła przypominać tę pasteczkę, krągłą i śliczną. Ale jej ciało zostało złamane głodem i stało się kruche i słabe.

Mógł ją sobie wyobrazić tej strasznej nocy, gdy zobaczyła mordercę męża stojącego przy jego zwłokach, usłyszeć jej wyjaśnienia, wypowiedziane bez tchu, pełne szlochów, i Mundta, który zmusza ją do współudziału w tej strasznej i niepotrzebnej zbrodni. Ciągnie ją do telefonu, każe zadzwonić do teatru, a w końcu zostawia samą, udręczoną i wyczerpaną, żeby zmierzyła się z dochodzeniem, które musi nastąpić.

To było nieludzkie, a dla Mundta stanowiło fantastyczne wprost ryzyko.

Wcześniej była wiarygodnym współnikiem - o ironio - bardziej od Fennana uzdolnionym w technikach szpiegowskich. A jak na kobietę, która przeżyła taką noc, przy pierwszym spotkaniu odegrała wspaniałe przedstawienie.

Kiedy tak stał i patrzył na pasteczkę upozowaną między dwoma wielbicielami, zrozumiał, że jest jeszcze jedno wyjaśnienie sprawy Samuela Fennana, rozwiązanie, do którego pasują wszystkie szczegóły i okoliczności, zgodne z niespójnościami charakteru Fennana. Zaczął o tym myśleć jak o ćwiczeniu akademickim, bez odniesienia do konkretnych osób; manewrował charakterami jak fragmentami układanki, przekręcał je to w tę, to w tamtą stronę, żeby zaczęły pasować do ramy ustalonych faktów - i wtedy wzór nagle stał się tak wyraźny, że dalej nie była to już gra.

Serce zaczęło mu bić mocniej, z wzrastającym zaskoczeniem zaczął opowiadać sobie całą historię, rekonstruować sceny i przypadki - tym razem w świetle swojego odkrycia. Już wiedział, dlaczego Mundt wyjechał z Anglii właśnie wczoraj, dlaczego Fennan wybierał tak mało znaczące akta dla Dietera, dlaczego zamówił budzenie na ósmą trzydzieści i dlaczego Mundt nie zabił Elsy. Wreszcie wiedział, kto napisał anonim. Zobaczył, jak ogłupiły go własne sentymenty, jak fałszywie użył siły swojego umysłu.

Podszedł do telefonu i wybrał numer Mendla. Gdy tylko skończył z nim rozmawiać, zadzwonił do Petera Guillama. Potem włożył kapelusz i płaszcz i poszedł na Sloane Square. W małym kiosku kupił pocztówkę ze zdjęciem opactwa westminsterskiego. Wsiadł do metra i pojechał na północ, do Highgate. Na poczcie kupił znaczek i zaadresował pocztówkę do Elsy Fennan. Położył kartkę na pulpicie i napisał: „Chciałbym, żebyś tu była”. Wysłał kartkę i wrócił na Sloane Square. Nie mógł już nic więcej zrobić.

Tej nocy dobrze spał. Obudził się wcześniej rano i poszedł do sklepu za rogiem, żeby kupić rogaliki i paczkę kawy. Zaparzył kawę, usiadł w kuchni z „Timesem” w rękę, żeby zjeść śniadanie. Czuł się dziwnie spokojny, a kiedy wreszcie zadzwonił telefon, złożył starannie gazetę, zanim poszedł na górę, żeby go odebrać.

—George, tu Peter - głos był nagły, prawie triumfalny - trafiona, zatopiona, przysięgam!

—Co się stało?

—Pocztę odebrała o ósmej trzydzieści pięć. O dziewiątej trzydzieści już szła ulicą, cała spięta. Poszła prosto na stację i złapała pociąg o dziewiątej pięćdziesiąt dwie do Victorii. Kazałem

Mendlowi wsiąść do pociągu a sam pogałem samochodem, ale było za późno, żeby dopaść pociąg na stacji końcowej.

Jak skontaktujesz się z Mendlem?

Dałem mu numer do hotelu Grosvemor. Jestem tu teraz. Zadzwoń Ho mnie, jak tylko będzie miał okazję, a ja dołączę do niego.

—podchodzisz do tego z wyczuciem, prawda?

Jak do zgniętego jajka, chłopie. Ona chyba traci głowę. Gna jak chart.

Smiley odłożył słuchawkę. Wziął „Timesa” i zaczął przeglądać kolumnę teatralną. On musi mieć rację... musi.

Poranek ciągnął się z dręczącą powolnością. Smiley co jakiś czas podchodził do okna i patrzył, jak długonogie dziewczyny z Kensington idą na zakupy ze ślicznymi młodymi mężczyznami w jasnoniebieskich pulowerach, jak sąsiedzi myją swoje samochody stojące przed domami» I potem idą w dół ulicy na pierwsze piwo w ten weekend.

Wreszcie zadzwonił dzwonek przy drzwiach frontowych i weszli Mendel z Guillamem, radośnie uśmiechnięci, głodni jak wilki.

Haczyk, żyłka i spławik - powiedział Guillam. - Ale niech Mendel opowiada, on odwalił większość roboty. Ja tylko poszedłem, żeby dopaść ofiarę.

Mendel lekko przekrzywił głowę i zaczął mówić:

Złapała pociąg o dziewiątej pięćdziesiąt dwie do Victorii. W pociągu trzymałem się z dala od niej, zrównałem się z nią, dopiero gdy przechodziła przez barierki. Wzięła taksówkę do Hammersmith.

Taksówkę? - zdziwił się Smiley. - Musiała zwariować.

—Jest roztrzęsiona. Jak na kobietę chodzi szybko, ale po peronie to już prawie biegła. Wysiadła na Broadway i poszła do Sheridan Theatre. Chciała wejść do kasy, ale drzwi były zamknięte.

Zawahała się przez chwilę, potem się odwróciła i poszła do kawiarni odległej o jakieś sto metrów.

Zamówiła kawę i od razu za nią zapłaciła. Po około czterdziestu minutach wróciła do Sheridan.

Kasa była otwarta, a ja wepchnąłem się za nią i stanąłem w kolejce. Kupiła dwa bilety na następny czwartek, rząd T, miejsca 27 i 28. Kiedy wyszła z teatru, włożyła jeden bilet do koperty i zakleiła ją. Potem wysłała list. Nie mogłem zobaczyć adresu, ale na kopercie był znaczek za sześć pensów. Smiley siedział bez ruchu.

Ciekawe — mruknął. - Czy ort przyjdzie.

—Dołączyłem do Mendla przy Sheridan — powiedział Guillam. - Odprowadził ją do kawiarni i zadzwonił do mnie. Potem szliśmy za nią razem.

—Sam miałem ochotę na kawę - kontynuował Mendel. - Pan Guil-Jam dołączył do mnie.

Zostawiłem go, kiedy stanąłem w kolejce po bilet, a on chwilę później wyszedł z kawiarni. To była dobra robota, poszło bez problemów. Jest roztrzęsiona. Ale niczego nie podejrzewa.

—Co zrobiła później? - zapytał Smiley.

—Poszła prosto na dworzec Viktoria, Zostawiliśmy ją tam.

Przez chwilę milczeli, potem odezwał się Mendel:

—Co robimy teraz?

Smiley zamrugnął i spojrzał na niego.

—Zamówmy bilety na czwartkowe przedstawienie w Sheridan.

Poszli, znów był sam. Jeszcze nie uporał się z korespondencją, która zgromadziła się podczas jego nieobecności. Okólniki, katalogi od Blackwella, rachunki, sterta reklam, formularzy na zakłady piłkarskie i prywatnych listów nadal leżała na stoliku w korytarzu. Zabrał wszystko do salonu, położył na fotelu i zaczął od listów prywatnych. Jeden był od Mastona. Czytał go z uczuciem bliskim zażenowania.

Drogi George!

Było mi bardzo przykro, gdy usłyszałem od Guillaume'a o Twoim wypadku. Mam nadzieję, że do tej pory już wyzdrowiałeś.

Może sobie przypominasz, że pod wrażeniem chwil przed tym nieszczęściem, napisałeś do mnie list z rezygnacją. Chcę, żebyś wiedział, że - oczywiście - nie wziąłem tego na serio. Czasem natłok wydarzeń sprawia, że cierpi nasz zmysł perspektywy. Ale stare wiarusy jak my nie tak łatwo dają się zbić z tropu. Czekam na: chwilę, gdy znów Cię zobaczę pośród nas, jak tylko yyydobrejesz. A tymczasem nadal uważam Cię za starego, wypróbowanego członka załogi. Smiley odłożył list na bok i zajął się następnym. W pierwszej chwili nie rozpoznał charakteru pisma; patrzył bez wyrazu na szwajcarski znaczek pocztowy i drogi papier z hotelowej papeterii. Nagle poczuł, że robi mu się niedobrze, wzrok mu się przyćmił i ledwie znalazł siłę, żeby rozedrzeć kopertę. Czego ona chce? Jeśli pieniędzy, odda jej wszystko co posiada. Mógł wydawać pieniądze tak, jak chciał; jeśli sprawi mu przyjemność roztrwonienie ich na Ann, to je roztrwoni. Nie ma nic taniego, co mógłby jej dać - wszystko inne zabrała już dawno. Zabrała sego odwagę, jego miłość, jego współczucie; zabrała je, żeby od czasu do czasu cieszyć się nimi w smutne popołudnia, gdy czas ciągnie się leniwie pod gorącym kubańskim słońcem. Może się szczyścić tymi zdobyczami przed swoim najnowszym kochankiem, może je porównywać z trofeami, które złożyli jej wcześniej albo później inni.

Mój kochany George!

Przedstawiam Ci propozycję, której nie przyjąłby żaden dżentelmen. Chcę do Ciebie wrócić. Zatrzymałam się w Baur-au-Lac w Zurychu i będę tu do końca miesiąca. Daj znać.

Ann

Smiley podniósł kopertę i popatrzył na jej rewers: „Madame Juan Avida”. Nie, żaden dżentelmen nie przyjąłby takiej propozycji. Żaden sen nie przetrzyma odejścia Ann w biały dzień z sacharynowym Latynosem o uśmiechu jak skórka pomarańczy. Smiley widział kiedyś kronikę filmową pokazującą Alvidę wygrywającego jakiś wyścig w Monte Carlo. Miał włosy sięgające ramion i w tych swoich goglach, poplamiony olejem silnikowym, w tym śmiesznym wieńcu z wawrzynu wyglądał jak małpolud, który spadł z drzewa. Nosił białą koszulkę do tenisa, która jakimś cudem nie zabrudziła się podczas wyścigu. Z jej rękawów wystawały, z odpychającą jednoznacznością, czarne, małpie ramiona. To była cała Ann: „Daj mi znać”. Wykup swoje życie, sprawdź, czy da się przeżyć na nowo, i daj mi znać. Znudziłam się kochankiem, kochanek znudził się mną, pozwól, że znów zburzę twój świat; mój własny mnie nudzi. Chcę do ciebie wrócić... chcę, chcę...

Smiley wstał i z listem w ręce podszedł do porcelanowej grupy. Stał tak kilka minut, gapiąc się na pasteczkę. Była taka piękna.

Ostatni akt

Trzyaktowe przedstawienie Ryszarda II w Sheridan odbyło się przy pełnej sali. Guillam i Mendel usiedli na* przystawkach, na końcu łuku otaczającego szerokim półkolem scenę. Mieli stąd widok na tylne rzędy, które w innym przypadku byłyby niewidoczne. Wolne miejsce oddzielało Guillama od grupy studentów. Patrzyli w zamyśleniu na niespokojne morze rozkołysanych głów i trzepocących programów, gdy spóźnieni zajmowali swoje miejsca. Ta scena skojarzyła się Guillamowi z orientalnym tańcem, w którym nieznaczące gesty dłoni i stóp poruszają całe ciało. Co jakiś czas spoglądał na tylne rzędy, ale nie było tam śladu Elsy Fennan i jej gościa.

Właśnie kończyła się nagrana uwertura, gdy zerknął na dwa puste fotele w tylnym rzędzie. Serce aż mu podskoczyło. Dostrzegł smukłą postać Elsy Fennan. Siedziała nieruchomo, zapatrzona na audytorium jak dziecko uczące się dobrych manier. Miejsce po jej prawej stronie, najbliższe przejścia, nadal było puste.

Taksówki podjeżdżały w pośpiechu pod wejście do teatru, a pasażerowie o ustalonej i nieustalonej reputacji zostawiali kierowcom sowite napiwki, żeby przez następne pięć minut szukać biletów. Taksówka Smileya przejechała obok teatru. Wysiadł przy Clarendon Hotel i natychmiast udał się na dół, do restauracji i baru.

Oczekuję pilnego telefonu — powiedział. - Nazywam się Savage, proszę dać mi znać, dobrze? Barman odwrócił się w stronę stojącego za nim aparatu i przekazał słowa Smileya recepcjoniście. I jeszcze whisky z wodą sodową; czy pan się też napije?

Dziękuję, sir, ale nie tykam alkoholu. Kurtyna uniosła się nad słabo oświetloną sceną. Guillam próbował przeniknąć nagłą ciemność. Stopniowo jego oczy zaczęły się przyzwyczajać do słabej poświaty rzucanej przez światła awaryjne, aż wreszcie był w stanie, dostrzec w półmroku Elsę i miejsce obok niej - nadal puste.

Ostatni rząd był oddzielony od przejścia biegnącego z tyłu widowni tylko niskim przepierzeniem, za nim znajdowało się kilkoro drzwi, prowadzących do foyer, baru i szatni. Jedne otworzyły się na moment i na Elsę Fennan padła smuga przyćmionego światła. Elsa pochyliła lekko głowę, jakby przysłuchując się czemuś za nią, uniosła się w fotelu i znów usiadła.

Guillam poczuł rękę Mendla na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył, że ten patrzy gdzieś w bok. Podążył za wzrokiem Mendla. Wysoki mężczyzna powoli torował sobie drogę między tylnymi rzędami; był przystojny, z kosmykiem czarnych włosów spadających na czoło. To na niego patrzył Mendel, na tego eleganckiego giganta utykającego w przejściu między fotelami.

Było w nim coś wyjątkowego, co go wyróżniało, coś, co przykuwało uwagę i niepokoiło. Guillam obserwował przez lornetkę jego powolny i przemyślany marsz, podziwiał grację i miarowość nierównego kroku.

Mężczyzna szedł, wyrzucając zdrową nogę do przodu. Był w tym bunt, wyzwanie, którego nie można zbagatelizować. Guillam spostrzegł, jak publiczność odwraca głowy, jak oczy wszystkich przesuwają się posłusznie za nim.

Przecisnął się obok Mendla i wyjściem awaryjnym szybko wydostał się na korytarz. Po kilku krokach trafił wreszcie na foyer. Kasa była zamknięta, ale dziewczyna nadal ślęczała nad żmudnie zestawionymi rzędami cyfr, pokrytych poprawkami i skreśleniami. Przepraszam — powiedział Guillam - ale muszę skorzystać z telefonu. To pilne, pozwoli pani?

— Ciii! - niecierpliwie machnęła na niego ołówkiem, nawet nie podnosząc wzroku. Włosy miała myszowate, a cerę thistą i błyszczącą od zmęczenia pracą do późna i od diety ograniczonej do

smażonych ziemniaków. Guiliam czekał dłuższą chwilę, zastanawiając się, ile czasu minie, zanim dziewczyna znajdzie rozwiązanie w gęstwinie nabazgra-nych cyfr, które muszą się zgadzać ze stosikiem banknotów i monet w otwartej kasetce stojącej obok.

—Niech pani posłucha — rzekł wreszcie — jestem funkcjonariuszem policji. Na górze czeka para śmiałków, którzy mają ochotę na waszą forszę. Czy teraz pozwoli mi pani skorzystać z telefonu?

—O Boże - powiedziała zmęczonym głosem i wreszcie podniosła wzrok. Nosiła okulary i była bardzo brzydka: - Niech ich szlag trafi razem z tymi pieniędzmi. Mam ochotę wbić zęby w ścianę. - Odsunęła rachunki na bok i otworzyła drzwi, przez które Guiliam wcisnął się do środka.

— Niezbyt tu przytulnie, prawda?—powiedziała dziewczyna z uśmiechem. Była brzydka, ale miała inteligentną twarz. Pewnie studentka, która sobie dorabia, pomyślał Guiliam.

Zadzwoił do Clarendon i poprosił pana Savage'a. Po chwili usłyszał głos Smileya.

—On tutaj jest-powiedział Guiliam. - Był tu przez cały czas. Musiał kupić dodatkowy bilet, w którymś z przednich rzędów. Mendel zauważył, jak kulejąc, idzie między fotelami.

—Kulejąc?

—Tak, to nie Mundt. To ten drugi, Dieter.

Smiley nie odpowiadał, więc po chwili Guiliam odezwał się:

—George, jesteś tam?

—Obawiam się, że nic z tego, Peter. Nie mamy nic na Freya. Odwołaj ludzi, nie znajdą dziś Mundta. Czy pierwszy akt jeszcze trwa?

—Musi się już zbliżyć przerwa.

—Będę za dwadzieścia minut. Trzymaj się Elsy jak cień. Jeśli wyjdą i się rozdzielą, Mendel ma się przykleić do Dietera. Ty zostań w foyer podczas ostatniego aktu na wypadek, gdyby wyszli wcześniej.

Guiliam odłożył słuchawkę i odwrócił się do dziewczyny.

—Dziękuję - powiedział i położył na jej biurku cztery pensy. Zebrała je i wcisnęła mu z powrotem do ręki.

—Na litość boską - mruknęła. - Niech pan nie dodaje mi problemów.

Wyszedł na ulicę i zagadał do tajniaków wałęsających się po chodniku. Potem wrócił i dołączył do Mendla, gdy kurtyna zapadła po pierw-gZyni akcie.

Elsa i Dieter siedzieli obok siebie. Rozmawiali z ożywieniem i wyglądali na bardzo rozbawionych. Mendel przyglądał im się zafascynowany. Roześmiała się z czegoś, co powiedział Dieter, pochyliła się i położyła dłoń na jego ramieniu. Widział jej cienkie palce na rękawie jego wizytowej marynarki, widział, jak Dieter nachyla głowę i szeptem jej coś do ucha. Tym razem roześmieli się oboje. Po chwili światła przygasły, a gwar rozmów ucichł. Zaczynał się drugi akt.

Smiley szedł powoli w stronę teatru. To logiczne, myślał, że pojawił się właśnie Dieter. Przysłanie Mundta byłoby szaleństwem. Zastanawiał się, kiedy Elsa i Dieter odkryją że to nie Dieter ją wezwał, że to nie on wysłał pocztówkę zaufanym kurierem. Modlił się tylko o jedno | o możliwość przeprowadzenia kolejnej rozmowy z Elszą Fennan.

Kilka minut później zajął puste miejsce obok Guillama. Dawno już nie widział Dietera.

Nie zmienił się. Był tym samym nieprawdopodobnym romantykiem władającym magią szarlatana; tą samą niedającą się zapomnieć postacią która mozoliła się nad ruinami Niemiec, nieprzejednaną w dążeniu do celu, mroczną jak bogowie Północy. Smiley okłamał ich wieczorem w klubie; Dieter wymykał się wszelkim definicjom. Był człowiekiem myślącym i działającym w kategoriach absolutu, pozbawionym gotowości do jakiegokolwiek kompromisu. Gdy teraz siedział w ciemnym teatrze i patrzył na Dietera przez morze nieruchomych twarzy, nawiedziły go wspomnienia przeżytych razem niebezpieczeństw, wzajemnego zaufania, gdy każdy z nich miał w rękę życie tego drugiego. Wstał tUz

przed końcem drugiego aktu i poszedł w stronę bocznego wyjścia. Mendel dołączył do niego po kilku minutach, a Guillam prześliznął się obok nich, żeby zająć pozycję w foyer.

Jest kłopot - powiedział Mendel. - Klóć się. Ona coś powtarza, a on tylko kręci głową. Wygląda na zaniepokojonego. Zaczął się rozglądać po teatrze, jakby wpadł w pułapkę. Ocenia miejsce, robi plany. —Poczeka i wydostanie się z tłumem - orzekł Smiley. - Nie wyjdzie przed końcem.

Prawdopodobnie spróbuje nas wymanewrować, nagle rozdzielając się z nią pośrodku tłumy. Po prostu ją zgubi.

—A my? Dlaczego nie możemy tam podejść i ich zdjąć?

—Musimy czekać. Nie mamy żadnych dowodów. Ale Dieter o tym nie wie. Jeśli Elsa jest zdenerwowana, a on zaniepokojony, to na pewno coś zrobią. Niech ich ponosi, niech panikują, niech robią cokolwiek. Dopóki cokolwiek robią... Znów zgasły światła, ale Smiley kątem oka dostrzegł, jak Dieter nachyla się nad Elszą i coś do niej szeptem. Lewą ręką trzymał ją za ramię, zachowywał się tak, jakby coś jej perswadował, próbował podnieść ją na duchu. Sztuka wlokła się, krzyki żołnierzy i wrzaski obłąkanego króla wypełniały teatr, aż nadeszła kulminacyjna scena jego plugawej śmierci. Z widowni dało się słyszeć zbiorowe westchnienie. Dieter otaczał teraz ręką ramiona Elsy, zebrał fałdy jej cienkiego szala i ochraniał ją jak śpiące dziecko. Pozostali tak aż do zapadnięcia kurtyny. Żadne z nich nie klaskało. Dieter sięgnął po torebkę Elsy i położył ją na jej kolanach. Skinęła lekko głową. Ostrzegawczy łoskot bębnow przygotował publiczność na hymn narodowy. Gdy Smiley wstał, zauważył, że Mendel gdzieś zniknął. Popatrzył na Dietera, który wolno podniósł się z krzesła, i wtedy zdał sobie sprawę, że coś się stało. Elsa nadal siedziała i choć Dieter łagodnie nakłaniał ją do powstania, nie reagowała. Wyglądała nienaturalnie z głową opuszczoną między ramionami... Zaczynała się ostatnia zwrotka hymnu, kiedy Smiley wybiegł z sali i popędził korytarzem w dół po kamiennych schodach do foyer. Było już za późno - natknął się na tłum wychodzących. Rozglądał się rozpaczliwie za Dieterem, ale wiedział, że to beznadziejna sprawa - że Dieter zrobił to, co on sam by zrobił - wybrał jedno z wyjść awaryjnych prowadzących wprost na ulicę. Przepychał się przez tłum w stronę wejścia na widownię. Gdy torował sobie drogę między wychodzącymi, dostrzegł Guillama. Krzyknął do niego i Guillam szybko się odwrócił. Smiley dotarł wreszcie do niskiego przepierzenia i zobaczył Elsię Fennan. Siedziała bez ruchu, podczas gdy mężczyźni wokół niej wstawiali, a kobiety szukały swoich futer i torebek. Potem usłyszał krzyk. Nagły, krótki, pełen przerażenia. W przejściu stała jakaś dziewczyna i patrzyła na Elsię. To ona krzyknęła. Była młoda, bardzo ładna i śmiertelnie blada. Schwycił ją za ramiona i odsunął na bok. Zobaczył przed sobą przerażający widok. Szal Elsy ześliznął się z ramion, a głowa bezwładnie opadła na piersi. Smiley przypomniał sobie własne słowa: „Niech ich ponosi, niech panikują, niech robią cokolwiek...” Nie pomylił się, to skurczone, nieszczęsne ciało świadczyło o ich panice.

Wezwij policję, Peter. Ja wracam do domu. Trzymaj mnie z dala od tego, jeśli zdołasz. Wiesz, gdzie mnie znaleźć. - Skinął głową i powtórzył: - Wracam do domu.

Było mgliście i padał drobny deszczyk. Mendel szedł Fulham Palace Road, śledząc Dietera. Nagle dwadzieścia metrów od niego z wilgotnej mgły wyłoniły się światła reflektorów; ruch uliczny był nie mniejszy niż zwykle, choć samochody musiały szukać drogi po omacku.

On też. Niemal deptał Dieterowi po piętach, idąc ledwie kilkanaście kroków za nim. Puby i kina były zamknięte, ale kawiarnie i sale taneczne nadal przyciągały hałaśliwe grupki tłoczące się na chodnikach. Dieter szedł, utykając, a Mendel obserwował, jak sylwetka szpiega rozjaśnia się za każdym razem, gdy wchodzi w stożek światła kolejnej latarni.

Szedł szybko mimo kalectwa. Gdy wydłużał krok, utykanie stawało się bardziej widoczne.

Mendel myślał o nim bez nienawiści, czuł raczej głęboką pogardę i niesmak. Dla niego profesja Dietera nie miała znaczenia. Dostrzegał tylko nędzę moralną i tchórzostwo człowieka, który płacił

innym, żeby zabijali za niego. Nigdy nie dzielił przestępców na kategorie, uważał bowiem, że społeczeństwo składa się z ludzi uczciwych i kryminalistów. Tropienie i łapanie tych ostatnich traktował jako swoje powołanie. Dla niego Dieter był zwykłym mordercą. Mgła stała się gęsta i żółtawa. Mendel zastanawiał się, co teraz porabia pani Fennan. Guillaam się nią zajmie. Nawet nie spojrzała na Dietera, kiedy się wymknął. Nie pasowała do tego, sama skóra i kości, aż litość brała, gdy się na nią patrzyło. Pewnie żywi się samymi grzankami i rosółem z kostki.

Dieter nagle skręcił w prawo, w boczną uliczkę, a potem w drugą, w lewo. Szli już prawie godzinę, a on nie zwalniał. Ulica była pusta, Mendel słyszał tylko echo własnych kroków. Po obu stronach wznosiły się wiktoriańskie domy z fasadami w stylu regencji, przyciężkimi gankami i oknami otwieranymi do góry. Mendel domyślił się, że są w okolicy Fuiham Broadway, może trochę dalej, niedaleko King's Road. Dieter nadal nie zwalniał kroku, najwyraźniej pewien obranej drogi, spieszenie zdążający do celu.

Zbliżyli się do głównej ulicy i Mendel znów usłyszał odgłosy samochodów. Gdzieś nad ich głowami, jak zimowe słońce, zaświeciła bladą poświatą sygnalizacja uliczna. Dieter wahał się przez chwilę przy krawężniku i ryzykując, że wpadnie pod koła samochodów wyjeżdżających jakby znikąd, przeszedł przez jezdnię i zanurzył się znów w jednej z bocznych uliczek wiodących — Mendel był tego pewien — ku rzece.

Ubranie Mendla było przesiąknięte wilgocią, a drobny deszczyk spływał mu po twarzy. Musieli być blisko rzeki; czuł już zapach smoły i koksu, podstępny chłód bijący od czarnej wody. Przez chwilę wydawało mu się, że Dieter zniknął. Przyspieszył kroku, o mało się nie potknął o krawężnik, znów przyspieszył i zobaczył przed sobą schodki. Prowadziły do żelaznej bramy w balustradzie nabrzeża. Brama była lekko uchylona. Stał przy niej i spojrzał w dół. Dostrzegł grubo ciosany drewniany trap, a po chwili usłyszał nierówny odgłos, gdy Dieter, ukryty we mgle, schodził w stronę wody. Mendel odczekał chwilę, a potem ostrożnie ruszył za nim. Trap łączył się z długą tratwą zrobioną z desek i beczek po ropie. Z mgły wyłoniły się trzy podniszczone łodzie mieszkalne. Kołysały się łagodnie na cumach.

Mendel bezszelestnie zakradł się na tratwę i sprawdził po kolei wszystkie łodzie. Dwie stały blisko siebie, połączone deską. Trzecia była zacumowana jakieś pięć metrów dalej, a w przedniej kabynie paliło się światło. Mendel wrócił na nabrzeże i starannie zamknął za sobą żelazną bramę. Szedł powoli ulicą, niepewny, gdzie się znajduje. Po kilku minutach chodnik niespodziewanie skręcił w prawo, a grunt zaczął się podnosić. Domyślił się, że jest na moście. Zapalił zapalniczkę. Jej płomień i oświetlił kamienną ścianę po jego prawej stronie. Poruszał zapalniczką i na wszystkie strony i wreszcie spostrzegł metalową tablicę z napisem i „Most Battersea”. Wrócił do żelaznej bramy i przystanął na chwilę, i żeby się połapać w tym, co wie.

Nad nim po prawej stronie wznosiły się skryte we mgle cztery wielkie kominy elektrowni w Fulham. Po lewej miał promenadę Cheyne i z rzędem eleganckich łódek sięgającym mostu Battersea. W miejscu, w którym stał, promenada spotykała się z Lots Road, jedną z najpaskudniejszych ulic Londynu. Jej południową stronę zajmowały wielkie magazyny, nabrzeża i młyny, a po przeciwległej ciągnęły się rudery typowe dla bocznych uliczek Fulham.

Dieter Frey znalazł swoje sanktuarium w cieniu czterech kominów, jakieś dwadzieścia metrów od miejsca cumowania przy promenadzie heyne. Mendel dobrze znał to miejsce. Ledwie kilkaset metrów dalej wydobyto z objęć Tamizy doczesne szczątki Adama Scarra.

Echa we mgle

Było już dobrze po północy, kiedy zadzwonił telefon. Smiley wstał z fotela stojącego przed gazowym kominkiem i powlókł się na górę do sypialni. To pewnie Peter albo policja. Może nawet ktoś z prasy. Morderstwa dokonano za późno, by informacje o nim pojawiły się w wieczornych serwisach, ale poranne gazety na pewno zamieszczą szczegółowe relacje. Co będzie tym razem? „Maniakalny; zabójca w teatrze”? „Kobieta w śmiertelnym uścisku”? Nie cierpiał prasy, telewizji, nie znosił mass mediów, tej zmory dwudziestego wieku. Wszystko, co podziwiał i kochał, było wytworem głębokiego indywidualizmu. To dlatego nienawidził Dietera i jego filozofii życiowej nakazującej wyrzec się idealizmu w imię dobra ogółu. Dla Dietera życie pojedynczego człowieka było niczym: marzył o armiach ludzi bez twarzy związanych wspólną ideą; chciał kształtować świat, jakby to było drzewo, odcinać to, co psuje regularny kształt; w imię tej sprawy modelował ślepe, bezduszne automaty, takie jak Mundt. Mundt nie miał twarzy, tak jak armia Dietera, był wytrenowanym zabójcą, narzędziem. Smiley podniósł słuchawkę i usłyszał głos Mendla.

—Gdzie jesteś?-zapytał.

—Niedaleko nabrzeża Chelsea. W pubie Balon na Lots Road. Właściciel jest moim kumplem. Obudziłem go... Słuchaj, chłopak Elsy śpi smacznie w łodzi mieszkalnej przy młynie zbożowym w Chelsea.Kto?

Jej chłopak, jej eskorta w teatrze. Obudź się, Smiley. Co cię gryzie?

—Szedłeś za Dieterem?

—Oczywiście. Zgodnie z planem. Guillam miał przykleić się do kobiety, a ja do faceta... A przy okazji, jak poszło Guillamowi? Dokąd wybrała się Elsa?

—Donikąd. Gdy Dieter wyszedł, była już martwa. Mendel, jesteś tarn? Jak mam cię znaleźć, na litość boską? Gdzie jest to miejsce, czy policja je zna?

—Będą wiedzieli. Powiedz im, że jest w przerobionej barce desantowej „Sunset Haven”. Jest zacumowana od wschodniej strony nabrzeża Sennen, między młynem zbożowym a elektrownią w Fulham. Będą wiedzieli... Ale mgła jest gęsta, pamiętaj, bardzo gęsta.

—Gdzie możemy się spotkać?

—Wal prosto w stronę rzeki. Będę czekał na północnym krańcu mostu Battersea.

—Ruszam, gdy tylko dodzwonię się do Guillama.

Przez chwilę zastanawiał się, czy wziąć broń. W końcu uznał, że to bezcelowe. Zadzwonił do Guillama i przekazał mu informacje od Mendla.

—Muszą zabezpieczyć wszystkie porty i lotniska - powiedział na koniec. - Niech przyglądają się ruchowi na rzece i łodziom płynącym w stronę morza. Będą wiedzieli, jak to zrobić.

Włożył stary płaszcz przeciwdeszczowy, grube skórzane rękawice i wyszedł na spowitą mgłą ulicę. Mendel czekał na niego przy moście. Ruszyli wzdłuż nabrzeża, trzymając się blisko rzeki. Nagle Mendel zatrzymał się. Chwycił Smileya za ramię. Przez chwilę stali bez ruchu, nasłuchując. Smiley usłyszał głuchy odgłos kroków na drewnianym podłożu, nieregularny, jak kroki utykającego. Potem rozległo się skrzypienie żelaznej furtki, szcęk, gdy ją zamykano, i znowu kroki, coraz głośniejsze, zbliżające się do nich. Nagle dźwięk kroków ucichł. Smiley wstrzymał oddech, usiłując dostrzec we mgle zarys postaci, o której wiedział, że tam stoi. Pojawił się nagle, rozepchnął ich na boki i popędził dalej. Echo nierównych kroków nikło w oddali. Odwrócili się i pognali za nim. Mendel biegł pierwszy. Nagle skręcił gwałtownie w prawo. Smiley ruszył za nim. Po chwili usłyszał odgłos ciężkiego

narzędzia uderzającego w ludzką czaszkę. Jeszcze kilka kroków i zobaczył Mendla leżącego na ziemi. Dieter stał się nad nim z pistoletem we wzniesionej dłoni, szykując się do kolejnego uderzenia. Smileyowi brakowało tchu, w ustach czuł smak krwi. Zdołał zaczerpnąć powietrza i krzyknął rozpaczliwie:

Dieter!

Frey spojrzął na niego i skinął głową.

—Serwus, George - powiedział i z całej siły rąbnął Mendla kolbą pistoletu. Podniósł się powoli, trzymając pistolet lufą w dół. Oburącz odbezpieczał broń. Smiley rzucił się na niego. Nieporadnie wymachiwał krótkimi ramionami, uderzał otwartymi dłońmi. Z energią, jaką daje wściekłość, pchał Dietera do balustrady mostu. Czuł jego ciosy, ale nie czuł bólu.

—Świnia! Świnia! - krzyczał.

Dieter cofał się, a Smiley bił go po twarzy niezdarnymi, dziecięcymi ciosami. Dieter odchylił się do tyłu i Smiley zobaczył odsłonięty zarys jego krtani i podbródka. Z całej siły wyrzucił otwartą dłoń, zacisnął palce na szczęce i ustach Dietera i pchał, ciągle pchał go przed siebie. Nagle Dieter schwycił go za kołnierz, żeby ratować się przed upadkiem. Po chwili ucisk zelżał. Dieter spadł w mgłę kotłującą się pod mostem. Smiley nie usłyszał żadnego krzyku, żadnego pluśnięcia. Dieter odszedł jak ofiara złożona londyńskiej mgłę i cuchnącej czarnej rzece płynącej pod nią. Smiley czuł pulsowanie w głowie, z nosa płynęła mu krew, palce prawej ręki były połamane. Wychylił się za balustradę i spojrzął w dół, w mgłę, ale niczego nie zobaczył.

—Dieter! - krzyknął z rozpaczą. - Dieter!

Krzyknął jeszcze raz, ale głos mu się załamał, a z oczu popłynęły łzy.

—O, dobry Boże, co ja zrobiłem! Dieter, dlaczego mnie nie powstrzymałeś, dlaczego mnie nie uderzyłeś, dlaczego nie strzelałeś? — Przyciągnął dłonie do twarzy, oparł się balustradę i płakał jak dziecko. Gdzieś pod nim nieszczęsny kaleka zmagął się z ciemną wodą i wreszcie uległ cuchnącemu nurtowi, który wciągnął go w głęb. Obudził się. W nogach łóżka siedział Peter Guillam i nalewał herbatę.

—O, George. Witamy w domu. Jest druga po południu.

—A dziś rano?

—Dziś rano, drogi chłopcze, zabawiałeś się na moście Battersea wraz towarzyszem Mendlem.

Jak on się ma... to znaczy, Mendel?

Szybko wraca do sił.

A Dieter?

Nie żyje.

Guillam podał mu filiżankę herbaty i kilka ratafiowych herbatników od Fortnuma.

Jak długo tu jesteś, Peter?

Dotarliśmy tu po serii taktycznych skoków. Pierwszy był do szpitala w Chelsea, gdzie wylizali ci rany i dali potężną dawkę środka uspokajającego. Potem wróciliśmy tutaj i położyłem cię do łóżka. Potem trochę telefonowałem i, by tak rzec, poszedłem w obchód ze szpikulcem, żeby trochę posprzątać. Co jakiś czas do ciebie zaglądałem. Albo chrapałeś jak koń, albo recytowałeś Webstera.

Boże.

—Księżniczkę Malfi, jeśli się nie mylę. „Prosiłem cię, gdym nie był przy zdrowych zmysłach, byś zabił najdroższego z przyjaciół mych, a tyś to uczynił!” Koszmarny nonsens, George.

—Jak policja nas znalazła - Mendla i mnie?

Może nie zdajesz sobie z tego sprawy, ale wykrzykiwałeś przekleństwa tak głośno...

Rozumiem. Usłyszałeś.

Usłyszeliśmy.

- A co z Mastonem? Co Maston mówi o tym wszystkim?

—Chce cię zobaczyć. Prosi, żebyś wpadł, gdy tylko lepiej się poczujesz. Ale nie wiem, co o tym sądzi. Pewnie nic.

—Co masz na myśli?

Guillam nalał znów herbaty.

- Rusz głową, George. Wszystkich bohaterów tej bajeczki pożarł zły wilk. Ale żadna tajna informacja nie została ujawniona. Czy naprawdę uważasz, że Maston ma ochotę zajmować się szczegółami? Że pobiegnie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i powie, że łapiemy szpiegów dopiero, gdy potkniemy się o ich zwłoki? Zadzwoił dzwonek u drzwi i Guillam zszedł, żeby sprawdzić, kto to. Smiley usłyszał, jak wpuszcza gościa, a potem dobiegły go stłumione głosy i kroki na schodach. Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Maston. Niósł wielki bukiet kwiatów i wyglądał, jakby właśnie wracał | garden party. Smiley przypomniał sobie, że to piątek: bez wątplenia na weekend wybiera się do Henley. Maston uśmiechał się. Musiał się tak uśmiechać jeszcze na schodach.

—No, George, znowu na wojniel

—Tak, obawiam się, że tak. Jeszcze jeden wypadek. Maston usiadł na skraju łóżka, pochylił się i oparł rękę za nogami Smileya.

—Dostałeś mój list, George? - spytał po chwili milczenia —Tak.

—Mówiło się o nowym wydziale w departamencie. My - to jest twój departament - sądzimy, że powinniśmy poświęcić więcej energii na techniki poszukiwania, ze szczególnym uwzględnieniem szpiegostwa satelitarnego. Ten pogląd podzielany jest przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Guillam zgodził się na rolę doradcy w ramach swoich kompetencji. Zastanawiałem się, czy wzięłbyś to dla nas. Żeby tym pokierować. Oczywiście, po niezbędnym awansie i z możliwością przedłużenia czasu służby po wypracowaniu lat do emerytury.

—Dziękuję... może powinienem to przemyśleć?

—Oczywiście... - Maston wyglądał na lekko przygaszonego. - Kiedy dasz mi znać? Może trzeba będzie zatrudnić kilku nowych ludzi, no i jest kwestia pomieszczeń... Przemyśl to przez weekend, dobrze? I daj mi znać w poniedziałek. Sekretarz bardzo by chciał, żebyś to ty...

—Tak, dam ci znać. To bardzo miłe z twojej strony. Dzisiaj.

—Nie ma sprawy. Wiesz, George, że ja jestem tylko doradcą. Po prostu przyniosłem dobrą nowinę; jak zwykle jestem gońcem. — Popatrzył ostro na Smileya, zawahał się i powiedział: — Włączyłem w to ministrów... w tym zakresie, w jakim jest to konieczne. Przedyskutowaliśmy niezbędne działania. Obecny był także sekretarz spraw wewnętrznych.

—Kiedy to było?

—Dziś rano. Podniesiono kilka bardzo poważnych kwestii. Rozważaliśmy notę protestacyjną wobec Niemiec Wschodnich i nakaz ekstradycji tego Mundta.

—Ale my nie uznajemy Niemiec Wschodnich.

—Właśnie. Na tym polega trudność. Można jednak złożyć protest przez pośredników.

—Takich jak Rosja?

—Takich jak Rosja. Niestety, sprzeciwiły się temu pewne czynniki. Uznano, że rozgłos, bez względu na to, jaką przyjmie formę, w końcu zwróci się przeciwko interesowi narodowemu. W kraju już daje się odczuć silną wrogość przeciwko zbrojeniu Niemiec Zachodnich. Uznano, że jakkolwiek ślad niemieckich intryg w Wielkiej Brytanii - inspirowany przez Rosjan albo nie — może się stać pożywką dla tej wrogości. Rozumiesz, nie ma niezbitych dowodów, że Frey działał dla Rosjan. Opinii publicznej można by równie dobrze przedstawić to tak, że działał na własny rachunek albo w imieniu zjednoczonych Niemiec.

—Rozumiem.

Jak do tej pory, tylko nieliczni są świadomi faktów. Na szczęście. Sekretarz spraw wewnętrznych zapewnił w imieniu policji, że zrobią Czystko, by maksymalnie zmniejszyć znaczenie tej sprawy... A ten Mendel, co z nim? Jest godny zaufania?

—Tak - odparł Smiley.

Maston wstał.

—To dobrze - powiedział. - No, muszę już iść. Czy czegoś potrzebujesz, może mógłbym coś dla ciebie zrobić?

Nie, dziękuję. Guillam wspaniale się mną zaopiekował. x Maston doszedł do drzwi.

Cóż. życzę ci szczęścia, George. Weź to stanowisko, jeśli możesz i rzeź z ujmującym, porozumiewawczym uśmiechem, jakby chciał powiedzieć, że zależy mu na tym.

Dziękuję za kwiaty - odparł Smiley.

Dieter nie żył, i to on go zabił. Połamane palce prawej dłoni, sztywność ciała, przeszywający ból głowy, poczucie winy wywołujące mdłości i wszystko to potwierdzało. A Dieter pozwolił mu na to, nie strzelił, pamiętał o ich przyjaźni, o której Smiley zapomniał. Walczyli w chmurach, we wzbierającym nurcie rzeki, na polanie w beczasowym lesie: było im pisane, że się spotkają - dwaj przyjaciele po latach, a walczyli jak dzikie bestie. Dieter pamiętał, a Smiley nie. Przybyli z dwóch różnych półkul nocy, z odmiennych światów myśli i działań. Dieter walczył o to, by zbudować nową cywilizację. On starał się go powstrzymać. Smiley z trudem zwał się z łóżka i zaczął się ubierać. Pomyślał, że będzie lepiej, jeśli wstanie.

Drogi Doradco!

Wreszcie jestem w stanie odpowiedzieć na propozycję działu personalnego przyznania mi wyższego stanowiska w departamencie. Przepraszam, że zajęto to tyle czasu, ale jak wiesz, nie czułem się ostatnio najlepiej, musiałem się też uporać z różnymi osobistymi sprawami pozostającymi poza zakresem interesowania departamentu. Jako że nadal nie jestem zupełnie zdrow, sądzę, że przyjęcie takiej propozycji nie byłoby rozsądne. Bądź łaskaw przekazać moją decyzję działowi personalnemu. Jestem pewien, że mnie zrozumiesz.

Twój George Smiley

Drogi Peterze!

Dołączam notatkę na temat sprawy Fennana. To jedyny egzemplarz. Przekaż ją, proszę, Mastonowi, gdy tylko ją przeczytasz. Pomyślałem, że dobrze byłoby spisać wydarzenia - nawet jeśli ich nie było.

Twój George

SPRAWA FENNANA

W poniedziałek drugiego stycznia przesłuchiwałem Samuela Arthura Fennana, wyższego urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych. w celu wyjaśnienia pewnych zarzutów poczynionych mu w liście. Przesłuchanie zostało przeprowadzone zgodnie ze zwyczajną procedurą, czyli za zgodą ministerstwa. Nie mieliśmy żadnej danych, które mogłyby zaszkodzić Fennanowi, nie licząc jego komunistycznych sympatii z lat trzydziestych w Oksfordzie, do których nie przywiązywano wielkiej wagi. Toteż przesłuchanie było niejako czysto rutynową procedurą.

Okazało się, że gabinet Fennana w ministerstwie nie nadaje się do tego celu, więc uzgodniliśmy, że będziemy kontynuować naszą rozmowę w St. James Park, korzystając z ładnej pogody.

Później wyszło na jaw, że zostaliśmy wtedy rozpoznani i byliśmy obserwowani przez agenta wschodniemieckiego wywiadu, który wcześniej, podczas wojny, współpracował ze mną. Nie jest pewne, czy objął Fennana swego rodzaju obserwacją, czy też jego obecność w parku była przypadkowa. W nocy trzeciego stycznia policja z Surrey zameldowała, że Fennan popełnił samobójstwo. Napisany na maszynie list pożegnalny opatrzone odręcznym podpisem Fennana głosił, że autor stał się ofiarą władz bezpieczeństwa. Jednak podczas śledztwa wynikły następujące fakty, które wskazywały na to, że mamy do czynienia z oszustwem:

1. O 19.55, w dniu śmierci, Fennan zamówił w centrali Walii-ston budzenie na 8.30 następnego ranka.
2. Na krótko przed śmiercią Fennan przygotował sobie kakao i nie wypił go.
3. Miał się zastrzelić w holu, przy schodach. List znaleziono przy ciele.
4. Wydaje się niewiarygodne, że pożegnalny list napisał na maszynie, rzadko bowiem używał maszyny do pisania; jeszcze bardziej zastanawiające było, że potem zszedł na dół, by się zastrzelić.
5. W dniu śmierci wysłał list, w którym zapraszał mnie na lunch w Marlow następnego dnia.
6. Później wyszło na jaw także to, iż Fennan poprosił o dzień wolnego na środę czwartego stycznia. Najwyraźniej nie wspominał o tym swojej żonie.

7. Stwierdzono również, że list pożegnalny został napisany na maszynie należącej do Fennana i że pewne cechy szczególne czcionki w anonimowym donosie są podobne. Raport laboratoryjny stwierdza zarazem, iż oba listy pisane były przez dwie różne osoby chociaż na tej samej maszynie.

Pani Fennan, która wieczorem w dniu, w którym zginął jej mąż, była w teatrze, została poproszona o wyjaśnienie, dlaczego nazajutrz o ósmej trzydzieści zadzwoniono z centrali. Niezgodnie z prawdą powiedziała, że sama zamawiała ten telefon (w centrali stwierdzono, że budzenie zamówił Samuel Fennan). Pani Fennan utrzymywała, że jej mąż był zdenerwowany i załamany po przesłuchaniu, co potwierdzają słowa jego listu pożegnalnego.

Po południu czwartego stycznia, gdy wyszedłem od pani Fennan, wróciłem do swojego domu w Kensington. Zauważyłem przez okno, że ktoś jest wewnątrz i zadzwoniłem do frontowych drzwi. Drzwi otworzył jakiś człowiek, którego później zidentyfikowano jako agenta wschodniemieckiego wywiadu. Zaprosił mnie do środka, ale odmówiłem wejścia i wróciłem do samochodu, zapamiętując po drodze numery zaparkowanych w pobliżu samochodów.

Tego samego wieczoru odwiedziłem mały garaż w Battersea, żeby przeprowadzić śledztwo w sprawie pochodzenia jednego z tych samochodów; był on zarejestrowany na nazwisko właściciela garażu. Zostałem zaatakowany przez niezidentyfikowanego sprawcę i pobity do utraty przytomności. Trzy tygodnie później właściciel garażu, Adam Scarr, został znaleziony martwy w Tamizie, nieopodal mostu Battersea. Gdy tonął, był pijany. Nie było śladów przemocy, a on miał opinię pijaka.

Istotne jest, że Scarr przez ostatnie cztery lata pozwalał anonimowemu cudzoziemcowi korzystać z samochodu i otrzymywał za to szczodre wynagrodzenie. Ich spotkania były aranżowane w ten sposób, żeby ukryć tożsamość wynajmującego nawet przed samym Scarrem, który znał tylko pseudonimem swego klienta - Blondie, i mógł się z nim kontaktować wyłącznie telefonicznie. Numer telefonu ma tu znaczenie: był to numer Wschodnioniemieckiej Misji ds. Stali.

Tymczasem przeprowadzono śledztwo w sprawie alibi pani Fennan na wieczór, kiedy dokonano morderstwa. Wyszły na jaw istotne informacje:

1. Pani Fennan chodziła do teatru w Weybridge dwa razy tym miesiącu, w pierwsze i trzecie wtorki (nb. klient Adama Scarra odbierał samochód w pierwsze i trzecie wtorki miesiąca).

2. Zawsze przynosiła ze sobą teczkę na nuty i zostawiała ją piw szatni.

3. Podczas wizyt w teatrze zawsze dołączał do niej mężczyzna,

iktórego opis zgadza się z opisem człowieka, który na mnie napadł, i klienta Scarra. Osoba z trupy teatralnej sądziła nawet, że ten mężczyzna musi być mężem pani Fennan. On 8 także przynosił teczkę na nuty i zostawiał ją w szatni.

4. W dniu morderstwa pani Fennan opuściła teatr wcześniej, gdy jej przyjaciel się nie stawił, i zapomniała zabrać z szatni

... teczkę na nuty. Później, tego wieczoru, zadzwoniła do teatru z pytaniem, czy mogłaby odebrać teczkę. Tłumaczyła, że zgubiła numerek z szatni. Teczka została odebrana przez przyjaciela pani Fennan.

Na tym etapie mężczyzna został zidentyfikowany jako pracownik Wschodnioniemieckiej Misji ds.

Stali o nazwisku Mundt. Szefem misji był Herr Dieter Frey, współpracownik naszych służb z czasów wojny dysponujący ogromnym doświadczeniem operacyjnym. Po wojnie wstąpił do służby rządowej w sowieckiej strefie okupacyjnej. Nadmieniam, że Frey współpracował ze mną podczas wojny na terytorium wroga i okazał się znakomitym agentem.

Postanowiłem przeprowadzić trzecią rozmowę z panią Fennan. Załamała się i wyznała, że działała w charakterze kuriera wywiadu na prośbę swojego męża, którego Frey zwerbował cztery lata temu, podczas wypadu na narty. Ona sama współpracowała niechętnie, po części z lojalności wobec męża, a po części dlatego, żeby go chronić przed skutkami jego własnego roztargnienia, gdy grał rolę szpiega. Frey zobaczył Fennana, gdy rozmawiał ze mną w parku. Jako że byłem wtedy czynny operacyjnie, doszedł do wniosku, iż Fennan jest podwójnym agentem. Na jego rozkaz Mundt zlikwidował Fennana, a jego żonę zmusił do milczenia jako współniczkę przestępstwa. Napisała nawet na maszynie męża list pożegnalny na kartce z jego podpisem.

Sposób przekazywania Mundtowi materiałów wywiadowczych zdobytych przez jej męża jest istotny. Wkładała notatki i skopiowane dokumenty do teczek na nuty, którą zabierała do teatru. Mundt przy. nosił podobną teczkę zawierającą pieniądze i instrukcje, i mwnież zostawiał ją w szatni. Musieli tylko wymienić się numerkami. Kiedy Mundt we wspomniany wieczór nie pojawił się w teatrze, pani Fennan postąpiła według instrukcji i wysłała numerek pocztą pod adres w Highgate. Wyszła z teatru, żeby złapać ostatnią pocztę odchodzącą z Weybridge. Kiedy później, tego samego wieczoru, Mundt zażądał od niej teczek na nuty, powiedziała mu, co zrobiła. Mundt nalegał, żeby odebrać teczkę jeszcze tego wieczoru, co też uczynił.

Kiedy następnego dnia rano przesłuchiwałem panią Fennan, jedno z moich pytań (o telefon z ósmej trzydziści) tak ją zaniepokoiło, że skontaktowała się z Mundtem. To sprawiło, żejeszcze tego samego dnia dokonał napadu na mnie.

Pani Fennan dała mi adres i numer telefonu, pod którym kontaktowała się z Mundtem - którego знаła pod pseudonimem Freitag. Oba tropy prowadziły do apartamentu wynajmowanego przez pilota z Lufteuropy, który często gościł Mundta i zapewniał mu nocleg, gdy ten go potrzebował. Pilot ten (prawdopodobnie kurier wschodnioniemieckiego wywiadu) nie wrócił do Anglii od piątego stycznia.

Takie było podsumowanie wyznań pani Fennan, które - w pewnym sensie - prowadziły donikąd. Szpieg nie żył, jego mordercy zniknęli. Zwrócono się oficjalnie do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i polecono panu Feliksowi Tavernerowi sprawdzić na podstawie spisów ministerstwa, jakie informacje zostały narażone na szwank. Sporządzono listę wszystkich teczek, do których Fennan miał dostęp, odkąd Frey go zwerbował. Godne uwagi jest, że nie zaglądał do teczek zawierających materiały objęte tajemnicą, nie licząc tych, które dotyczyły wykonywanych przez niego obowiązków. Przez ostatnie pół roku, gdy jego dostęp do istotnych dokumentacji znacznie wzrósł, nie zabrał ze sobą do domu ani jednej teczki z materiałami utajnionymi. Teczki, które zabierał w tym czasie, zawierały materiały niewielkiej użyteczności wywiadowczej, choć niektóre z nich dotyczyły tematyki znajdującej się poza zainteresowaniem jego wydziału. Może to wskazywać, że Fennan stracił motywacje do działalności szpiegowskiej i że zaproszenie mnie na lunch było pierwszym krokiem do poczynienia wyznań. Mógł też napisać anonimowy donos, chcąc w ten sposób skontaktować się z moim departamentem.

W tym miejscu należy wspomnieć o dwóch późniejszych faktach. Mundt, posługując się przybranym nazwiskiem i sfałszowanym paszportem, wyleciał z kraju dzień po mojej trzeciej rozmowie i panią Fennan. I druga sprawa: notatnik Fennana zawierał pełne nazwisko i oficjalny numer telefonu Dietera Freya - jest to rażące naruszenie najbardziej elementarnych zasad szpiegostwa. I trudno zrozumieć, dlaczego Mundt przebywał w Anglii aż trzy tygodnie po zamordowaniu Scarra, a jeszcze trudniej pojąć, dlaczego Fennan korzystał z dostępu do teczek zawierających tajne materiały: Ponowne przyjrzenie się faktom prowadzi do następującego wniosku: jedyny dowód na to, że był on szpiegiem, pochodzi od jego żony. Gdyby fakty miały się tak, jak ona je przedstawiła, to dlaczego pozwolono by jej żyć, mimo że Mundt i Frey postanowili wyeliminować ludzi, którzy posiadali niebezpieczną wiedzę?

Z drugiej strony, czy mogła nie być szpiegiem?

To wyjaśniałoby datę odlotu Mundta: wyjechał, gdy tylko pani Fennan zapewniła go, że wzięłam jej pomysłowe zeznania za dobrą monetę. To wyjaśniałoby również wypis w notatniku Fennana: Frey był przypadkowym znajomym z nart i od czasu do czasu odwiedzał ich w Walliston. Wyjaśniałoby też wybór teczek - jeśli Fennan celowo wybierał dokumenty nieutajnione, w sytuacji gdy jego praca opierała się głównie na materiałach tajnych, wniosek może być tylko jeden: zaczął podejrzewać żonę. Stąd zaproszenie do Marlow wynikające w sposób naturalny z naszej rozmowy poprzedniego dnia. Fennan postanowił powiedzieć mi o swoich obawach i wziął dzień wolnego, żeby to uczynić - o tym fakcie jego żona najwyraźniej nie wiedziała. To wyjaśniałoby również, dlaczego Fennan napisał donos: chciał się z nami skontaktować, co było wstępem do zadenuncjowania żony.

Jeśli przyjmie się to przypuszczenie, należy stwierdzić, że pani Fennan znała techniki szpiegowskie i dobrze sobie radziła. Metoda, której używali ona i Mundt, przypomina działania Freya podczas wojny. Plan ewaryjny polegający na wysłaniu numerka pocztą, jeśli nie dojdzie do spotkania, był typowy dla jego skrupulatnie przygotowywanych operacji. Pani Fennan, jak widać, działała z precyzją nieprzystającą do jej twierdzeń, jakoby niechętnie uczestniczyła w poczynaniach męża.

O ile logiczne wydaje się podejrzenie, iż pani Fennan była szpiegiem, o tyle nie ma powodu, żeby odrzucać jej zeznanie dotyczące okoliczności śmierci jej męża. Gdyby wiedziała, że Mundt ma zamiar go zamordować, nie wzięłaby z sobą teczek na nuty do teatru i nie wysłałaby pocztą numerka z szatni. Wydaje się, że nie można byłoby niczego jej udowodnić bez reaktywowania jej związków z oficerem prowadzącym. Podczas wojny Frey opracował pomysły na wypadek konieczności przeprowadzenia spotkania awaryjnego, polegający na użyciu zdjęć i pocztówek. Obiekt znajdujący się na fotografii był swego rodzaju informacją. I tak obiekt religijny, na przykład portret Madonny albo kościół, oznaczał prośbę o jak najszybsze spotkanie. Adresat wysyłał w odpowiedzi również niezwiązany ze sprawą list, opatrując go datą. Spotkanie odbywało się w uprzednio wyznaczonym miejscu i o ustalonej godzinie, dokładnie pięć dni po dacie umieszczonej na liście.

Wydaje się możliwe, że Frey, którego technika niewiele się zmieniła od wojny, nadal używał tego systemu. Opierając się na tym, wysłałem do Elsy Fennan pocztówkę z widokiem kościoła. Kartka wysłana została z Highgate. Miałem nadzieję, że pani Fennan uzna ją za sygnał przesłany za pośrednictwem siatki Freya. Zareagowała natychmiast, wysyłając pod nieznany adres za granicą bilet na przedstawienie teatralne, które miało się odbyć za pięć dni. Wiadomość od pani Fennan dotarła do Freya, który uznał ją za pilne wezwanie. Wiedząc, że Mundt został spalony, wskutek zeznań pani Fennan, postanowił zjawić się osobiście.

Spotkali się w Sheridan Theatre w Hammersmith, we wtorek piętnastego lutego. Z początku każde z nich uważało, że spotkanie zainicjowało to drugie, a kiedy Frey zrozumiał, że spotkali się w wyniku czyjegoś podstępu, podjął drastyczne działania. Możliwe, że podejrzewał panią Fennan o zwabienie go w pułapkę albo zdał sobie sprawę, że jest obserwowany. Tego nigdy się nie dowiemy. Tak czy inaczej, zamordował ją. Metoda, jaką się posłużył, została opisana w raporcie koronera załączonego do akt śledztwa: „Zastosowano jednorazowy ucisk krtani, w szczególności na chrząstkę tarczycy, co spowodowało niemal natychmiastową śmierć. Wydaje się, że zabójca pani Fennan nie był laikiem w tej materii”. Frey był ścigany aż do łodzi mieszkalnej zacumowanej niedaleko promenady Cheyne, a kiedy gwałtownie opierał się aresztowaniu, wpadł do rzeki, z której wydobyto jego zwłoki.

Między dwoma światami

W niedziele Klub niepoważnych Smileya był zazwyczaj pusty, ale pani Sturgeon zostawiała drzwi otwarte na wypadek, gdyby któryś z dżentelmenów zechciał wpaść. Przyjęła tę samą surową, władczą postawę, jaką charakteryzowała się w dniach, gdy była gospodynią w Oksfordzie - kiedy to wymagała od mieszkańców internatu szacunku większego niż wszyscy dziekani razem wzięci. Wybaczała wszystko, ale jakoś udawało jej się przedstawiać to w taki sposób, że nie wybaczy już nigdy więcej. Raz zmusiła Seed-Aspreya, by wrzucił dziesięć szylingów do puszek dla biednych za to, że sprowadził siedmiu gości bez uprzedzenia, a potem przygotowała wspaniały obiad.

Usiedli przy tym samym stole co poprzednim razem. Mendel wyglądał na zmęczonego i jakby starszego. Rzadko się odzywał podczas posiłku, operował nożem i widelcem z taką samą ostrożną precyzją, jaką stosował przy wszystkich zadaniach. Guillam mówił za nich wszystkich, bo Smiley też był mniej rozmowny niż zwykle. Zachowywali się swobodnie w swoim towarzystwie i żaden nie czuł się zobowiązany do konwersacji. ^ - Dlaczego to zrobiła? - zapytał nagle Mendel.

Smiley powoli pokręcił głową.

—Zdaje mi się, że wiem, ale możemy tylko snuć domysły. Sądzę, że marzyła o świecie bez konfliktów, prowadzonym i strzeżonym przez nową doktrynę. Widziała, jak nowe Niemcy odbudowują się na podobieństwo starych, zobaczyła jak wraca „straszliwa duma”, jak to nazwała, i myślę, że to było dla niej za wiele; że widząc bezcelowość swoich cierpień i dostatek prześladowców, zbuntowała się. Powiedziała, że pięć lat temu spotkali Dietera na nartach w Niemczech. W tym czasie odbudowa Niemiec jako ważnej zachodniej potęgi była już zaawansowana.

—Czy była komunistką?

—Nie sądzę, żeby lubiła etykiety. Myślę, że chciała pomóc w budowie społeczeństwa, które mogłoby żyć bez konfliktów. Pokój to teraz niemodne słowo, prawda? Sądzę, że chciała pokoju.

—A Dieter? - zapytał Guillam.

—Bóg wie, czego chciał Dieter. Może chodziło mu o honor i o socjalistyczny świat. I Smiley wzruszył ramionami. - Marzyli o pokoju i wolności, a zostali szpiegami i mordercami.

—Chryste - westchnął Mendel.

Smiley umilkł, spoglądał w szklankę. Wreszcie powiedział:

—Nie spodziewam się, że zrozumiecie. Widzieliście tylko koniec Dietera. Ja widziałem początek. Zatoczył koło. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek przeszedł do porządku nad tym, iż podczas wojny był zdrajcą. Musiał to sobie wyjaśnić. Był jednym z tych, którzy tylko burzą. To wszystko.

Guillam taktownie zmienił temat:

—A co z tym telefonem o ósmej trzydzieści?

—Myślę, że sprawa jest oczywista. Fennan chciał się ze mną spotkać w Marlow i wziął dzień wolny. Nie mógł powiedzieć Elsie, że ma wolne, bo próbowałyby mi to jakoś wytłumaczyć. Zamówił telefon, aby mieć wymówkę, że jedzie do Marlow. Tak, w każdym razie, przypuszczam. Ogień trząsał w wielkim kominku.

Złapał nocny lot do Zurychu. Noc była piękna, patrzył przez okienko na szare skrzydła, nieruchome na tle rozgwieżdżonego nieba; mignięcie wieczności między dwoma światami. Ten widok ukoił go, uspokoił jego obawy i wątpliwości, nastroił filozoficznie wobec nieodgadnionego celu wszechświata.

Wszystko zdawało się być tak mało istotne - żalosne poszukiwanie miłości albo powrót do samotnego życia.

Wkrótce w dole zamajaczyły światła francuskiego brzegu. Patrzył i wyczuwał za nimi życie; odór gauloises bleues, czosnku i dobrego jedzenia, uniesione głosy w bistro. Maston był odległy o milion kilometrów, zamknięty ze swoimi suchymi papierami i wypucowanymi politykami.

Współpasażerom Smiley wydał się dziwną postacią— mały, tłusty człowieczek, to ponury, to znów uśmiechający się, zamawiający drinka. Młody mężczyzna siedzący obok zerkał na niego kątem oka. Dobrze znał ten typ — zmęczony dyrektor w poszukiwaniu odrobiny rozrywki. Smiley wydał mu się odpychający i nieciekawym.

KONIEC